

Christian Arnidis

Moja Grecja

Przewodnik po najciekawszych
miejscach

Opracowanie graficzne:

Krystian Baran

Ilustracje w książce i na okładce:

Paulina Ryszka

Redakcja i korekta:

Agata Babicz

Korekta i skład:

Paweł Broś

Zdjęcie autora:

Kamil Struzik

Konsultacja:

Roman Sap

Copyright © **Krystian Baran**

ISBN 978-83-951421-0-9

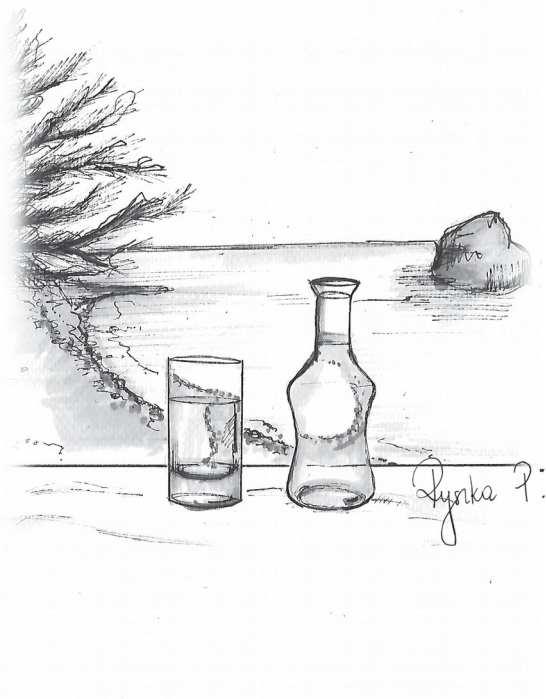
Inspiracja

Jan Korwin - Kochanowski

Druk:

Ekodruk s.c. w Krakowie

Ciekawy Wstęp



Wstęp, czyli skąd się to wzięło

Ileś lat pracowałem i nadal pracuję jako pilot i przewodnik w Grecji. Ileś lat temu zostałem uznany za najlepszego pilota na Grecję. No, ale nie zawsze tak było.

Moja pierwsza wycieczka była w pewien sposób wymuszona i okazała się totalną klapą, a doszło do niej dość przypadkowo. Pracowałem wtedy jako rezydent, czyli taki gość, który ma latać za papierem toaletowym, żarówką albo szukać łóżka, gdy komuś w pokoju brakuje. Poza tym, jak każdy z branży wie, rezydent jest od tego, żeby mu włożyć na głowę, zawracać dupę, zanudzać go i męczyć na przeróżne sposoby. Ale ten temat sobie rozwinę później. Na razie wracam do sytuacji sprzed jakichś dwudziestu lat, gdy w dalekiej Grecji użerałem się z upierdliwymi letnikami. Byłem rezydentem, czyli w takiej hierarchii turystycznej nawet nie jak giermek, tylko jak jakiś parobek, co sprząta stajnie. Rumaka mu nie pozwolą dotknąć, bo od tego są ci wyżej. Ja, delikatnie mówiąc, byłem od noszenia słomy i wymiatania nieczystości. A przy okazji za wszystko mi się obrywało. Parę klas czy kast wyżej byli przewodnicy. Splendor, zaszczyty, kobiety i pieniądze. Przewodnik wsiadał do autokaru, oprowadzał wycieczkę, dostawał oklaski, a po wycieczce szedł sobie do baru na dobrego drinka, otoczony wianuszkami zachwyconych turystek. A ja tam goniłem po nocach, bo komuś gaz się skończył, kogoś noga bolała, ktoś się nudził, a ktoś inny miał zatwardzenie. Czasem były takie regularne atrakcje, jak na przykład przyjazd turnusu lotniczego o trzeciej nad ranem. Wtedy do piątej, a czasem i dłużej, trwało kwaterowanie, bo temu się nie podobało na piętrze, a na parterze też źle. Czasem miałem wrażenie, że ludzie powinni mieć takie pokoje podczepione do balonu, raz

wyżej, raz niżej. Najlepiej jeszcze, żeby pokój przylatywał pod knajpę i zabierał pijanego, bo sam nie dojdzie. Przewodnikami byli studenci historii albo historii sztuki. No cóż, ja tak nieszczęśliwie edukację zakończyłem na maturze, z planami studiów psychologicznych (byłem właśnie na pierwszym roku), więc szans na bycie przewodnikiem nie miałem. Tak się przynajmniej wydawało otoczeniu. Zresztą wielu przewodników złośliwie nie chciało mnie niczego nauczyć, wymądrzając się i powtarzając, że nie jestem historykiem sztuki.

Mamy zatem wprowadzenie do całej sytuacji. Postaci dramatu z grubsza nakreślone. Relacje między nimi też. To zaczynamy.

Grecja, Kokkino Nero, połowa lat 90. Wracam sobie z jakiegoś picia, gdzieś około piątej nad ranem. Patrzę, a tu na trawniku koło apartamentów leży jakiś worek albo jakieś gałganki zbite w kulę. W miarę jak się zbliżałem, coraz bardziej mi to wyglądało na człowieka. A konkretnie na jakąś starą babę odzianą w łachmany, którą ktoś wygnał z domu, więc ta sobie spała na trawie. Było ciepło, więc nic złego się nie działo, poszedłem spać i ja. Ledwie zmrużyłem oczy, a tu budzi mnie Kostas, szef greckiego biura, i woła, że przewodnika nie ma na dziś na Metory. Już świta, ludzie w autokarze, a przewodnika nie ma ani w pokoju, ani nigdzie. Mówię mu, że nie mam pojęcia o oprowadzaniu wycieczki ani tej, ani żadnej innej. Kostas, jak to Grecy mają w naturze, podszedł do sprawy spokojnie, na zasadzie „jakoś to będzie” (takie podejście to jedna z wielu wspólnych cech Polaków i Greków). Wcisnął mi przewodnik i powiódł ku autokarowi pełnemu roześlonych letników. Wprawdzie po drodze okazało się, że ta z pozoru stara baba, leżąca w łachmanach przed apartamentami, to właśnie poszukiwany przewodnik, ale to nic nie zmieniło. Próby budzenia zdały się na nic. Moż-

na było go polewać wodą, tarmosić, szturchać, krzyczeć, płakać albo bić w bęben. Bez efektu. Gość był na zerwanym filmie.

Tak więc pojechałem na pierwszą moją wycieczkę. Wyszło tragicznie. Ludzie się skarżyli (wreszcie mieli na co), a ja powiedziałem sobie, że w życiu nie będę nikogo oprowadzał.

Parę lat później, z kolegą, co leżał nieprzytomny i zawinięty w łachmany, byłem na wyjeździe naukowym z historii sztuki jako pilot. I wielką satysfakcję mi sprawiło, gdy w pewnym momencie oddał mi mikrofon w autokarze. Z roku na rok szło coraz lepiej. Szkołęm nauczycieli, uczyłem historyków sztuki, prowadziłem pokazowe lekcje historii w szkołach, pisałem do gazet, spierałem się na forach internetowych z doktorami, korespondowałem z archeologami. Po prostu Grecja mnie wessała, a ja ją chłonałem jak gąbka. Chłonałem ją całą, od duszowej baraniny, po detektywistyczną pracę nad ustaleniem, skąd się wziął podział na cztery dialekty starożytnej Grecji. Od dyskotek po kościoły.

Jakiś czas temu ludzie zaczęli mnie zachęcać, bym coś o tej całej Grecji napisał. Najlepiej przewodnik. Problem w tym, że nie umiem pisać. Inaczej mówię, inaczej piszę. Muszę mieć słuchacza, a jak piszę, to mam monitor, a nie słuchacza.

Pierwsze próby mojego pisania kończyły się tworzeniem jakiegoś opasłego podręcznika do historii albo naśladowania mniej lub bardziej kulawych pozycji na rynku księgarskim w stylu: *Grecja dla początkujących* czy *Grecja dla opornych*. W końcu trafiłem na paru autorów, którzy totalnie zmienili moje myślenie o pisaniu, a byli to panowie: Kret - od książki *Mój Egipt*, mistrz Cejrowski - od całokształtu twórczości, i Ryszkiewicz, który to napisał *Homo Sapiens - meandry ewolucji*. Po tych

książkach dotarło do mnie, że pisanie wcale nie musi być ani ciężkie, ani nudne, ani jakieś niewyobrażalnie poprawne. Zresztą teraz wszyscy piszą książki. Prezenterka telewizji rozwiedzie się z piosenkarzem i już hop – książka. Albo jakaś baba ugotuje dwie zupy i zrobi kotleta, to znów książka. Nie wiem, co wyjdzie. Nie wiem, czy to ukończę. Może teraz już tak... Chyba dojrzałem.

Kraków, 24 lutego 2015 r.

Co to jest ta Grecja?

W zasadzie każdy Grecję zna. Na pewno było o niej w filmach, na lekcjach historii, nawet w podstawówce, w książkach... Tak! Są ludzie, którzy jeszcze praktykują tę niezwykłą, na poły magiczną aktywność, jaką jest czytanie książek.

Każdy coś o Grecji wie. Grecja jest kolebką naszej kultury, więc po prostu jest w niej wszechobecna od tysięcy lat. Każdy coś tam słyszał o jakimś micie greckim, kojarzy jakąś bitwę, jakiegoś króla, jakieś miasto, a już na pewno jakiegoś filozofa. I tu mam wrażenie, że większość ludzi z naszego kręgu kulturowego, czyli kultury europejskiej, a do niej zaliczymy też Ameryki i Australię, na pewno wie wiele więcej o historii Grecji niż o historii sąsiednich krajów. Czy ktoś wymieni jakieś znane bitwy Cesarstwa Niemieckiego z Republikami Włoskimi z okresu średniowiecza albo walki rosyjsko - mongolskie? Może jakieś bitwy wojny stuletniej między Anglią a Francją? Udało się? Chyba raczej ciężko. Natomiast takie bitwy jak Termopile czy Maraton skojarzy każdy. Większość jeszcze dorzuci Salaminę.

Grecja pojawia się też w sztuce, malarstwie, rzeźbie, teatrze czy poezji. Wystarczy spojrzeć na kolumny wielu oficjalnych budynków czy świątyń. Grecja jest wszędzie.

Muzycznie Grecję rozślawia film pt. *Grek Zorba*, którego tytułowy motyw, autorstwa Mikisa Theodorakisa, kojarzy chyba każdy. To samo robi Melina Mercouri, tym razem ze szlagierem z filmu *Nigdy w niedzielę*, czyli *Dziećmi Pireusu*. Właściwie tytuł należałoby bardziej tłumaczyć jako *Chłopcy z Pireusu* niż *Dzieci*... W języku greckim słowo *paidi* - *pedi* znaczy nie tylko „dziecko”. Znaczy to i „dzieci”, i „chłopcy”, a czasem i „panowie”.

Mamy też kompozytora filmowego Vangelisa, znanego choćby z muzyki z filmu *Rydwany Ognia*, a także wiele osób pochodzenia greckiego czy z greckich rodzin na stałe mieszkających za granicą, jak na przykład George Michael.

A dzisiejsza Grecja to pięknie oświetlony słońcem Akropol w tle, a na pierwszym planie Grecy w ludowych strojach tańczący zorbę na przystani, a na stolikach czeka na nich uzo i musaka.

I taki jest w zasadzie obraz współczesnej Grecji oczami tych, którzy chcą ją odwiedzić. Taki standardowy portret w sumie wykreowany bardziej przez autorów przewodników albo osoby, które były w Grecji parę dni na jakiejś konferencji, biegiem odwiedziły Akropol, wieczorem wpadły na „Wieczór grecki”, a potem na lotnisku w sklepie wolnoctwem zakupiły sobie butelkę *ouzo*. Uzo to taka anyżówka grecka. Po prostu wódka o smaku anyżowym mająca 40 % alkoholu. Chyba jak każda anyżówka po dodaniu wody lub wrzuceniu paru kostek lodu zaczyna wyglądać jak rozwodnione mleko...

Dla mnie pierwszy kontakt z Grecją niesie zupełnie inne skojarzenia. Historia na film w stylu *Jedwabny Szlak*. Jak ktoś się urodził w latach 70. lub wcześniej, to pamięta taki kupiecki etap w dziejach Polski. Pod koniec lat 80. dość łatwo można było dostać paszport i jechać za granicę. I wielu Polaków tak podróżowało, by przy okazji wakacji coś sobie zarobić, a że naród nasz słynie z przedsiębiorczości i dobrej, wzajemnej komunikacji, dość szybko powstały pewne szklaki kupieckie. Tradycyjnie łączyliśmy zamiłowanie do podróży, poznawania nowych krajów, z umiejętnością ekonomicznego przetrwania. Wtedy większości z nas nie byłoby stać na wakacje w Grecji, a nawet na dojechanie tam. Co więc zrobiliśmy? Rodzice, używając wszelakich kontaktów i znajomości, nakupili zabawek, odzieży, kosmetyków (zwłaszcza szminek i lakierów

do paznokci), i z tym ruszyliśmy do ZSRR. Oczami dziesięcioletniego dziecka, jakim wtedy byłem, ZSRR to taki kraj jak Polska, tylko mówili inaczej. Pamiętam, że rodzice sprzedali towar i nakupili tam innego, tym razem jakieś aparaty fotograficzne i inne artykuły przemysłowe. Później trasa przez Rumunię i Węgry, aż dotarliśmy do naszego Eldorado, czyli Jugosławii. Tam handlowaliśmy po bazarach wszystkim. Szło po prostu wszystko. Znajomi pojechali do Jugosławii z namiotem i przyczepą towaru, to sprzedali i towar, i namiot, i przyczepę. A ja szczególnie zapamiętałem dwa produkty oferowane przez moich rodziców. Były to znane z odpustów główki diabełka z wysuwającym językiem. Chyba najdziwniejszy pomysł na towar eksportowy z Polski, a szło jak woda... Mieliliśmy tego cały wór i poszło... Nasz drugi bestseller to coś, co jest odwiecznym szlagierem naszych uzdrowisk, niezależnie czy to nad morzem, czy w górach, a mianowicie długopis w kształcie ciupagi z termometrem. Nie pamiętam ani miasta, ani regionu Jugosławii, ale wiem, że tamtejsze dzieci oblegały nasz kram i wszystkie musiały mieć albo diabełka, albo długopis. A najlepiej i to, i to.

W Jugosławii były też chrupki i soki owocowe w małych woreczkach z rurką. Po ziemniaczanych prażynkach, chrupki orzechowe smakowały jak najwykwintniejsza potrawa podawane w Luwrze Królowi - Słońce, i to tylko przy jakiejś wyjątkowej okazji, np. w dniu urodzin.

Za to Grecję pamiętam z pierwszej puszki Coca - Coli, jaką wypilem w życiu. Z puszki, nie butelki. Cała magia tkwiła właśnie w tym, że znajdowała się ona w puszcze. Było bardzo jasno, bardzo gorąco i była wyplakana przeze mnie puszka zimnej Coca - Coli, która kosztowała bodajże 51 centów. Wtedy nie istniała jeszcze waluta euro, więc chodzi o centy USD. I tyle... Ani świątyni, ani morza, ani

plaż, tylko puszka Coca – Coli. Gdy byłem starszy, poznałem Greków. W moim mieście mieszkało trochę Greków, takich z migracji powojennej. Na przykład do równoległej klasy w liceum chodziły dwie Greczynki. Albo ktoś miał znajomego trenera narciarskiego, Greka, na którego mówili z amerykańskiego George, wymawiając to „Dżordż”. Pewnie w Grecji by mówili Jorgos. Pamiętam też, że miał on córkę o imieniu Roksana. Grek, po tych wszystkich Salaminach i Termopilach, daje córce perskie imię. Może po paru tysiącach lat animozje jakoś im przeszły...

I tyle zaznałem Grecji do wieku maturalnego. Coś li-
znałem w szkole jak każdy. Coś tam mi się obito o uszy,
ale kraj nie był mi jakoś specjalnie bliski. Ot, jeden z
krajów świata. Ale na pewnym etapie życia jakoś tam
trafiłem. A jak? To był taki zbieg okoliczności i cudów.

Pewnego lata, błakając się po jakimś studium i nie
bardzo wiedząc, jakie studia wybrać, dostałem propo-
zycję, by pojeździć jako pilot autokarowy na trasie Pol-
ska - Grecja. Zgodziłem się, bo nie miałem innego planu
na wakacje, a biedny byłem jak mysz kościelna. Wtedy się
podróżowało na poziomie uchodźców z jakiegoś kraju
ogarniętego wojną. Dwie doby w autokarze w jedną stro-
nę. Bez klimatyzacji, jakieś wielogodzinne koczowanie
na granicach, toaleta w krzakach i bieganie z papierosami
i piwem na każdej granicy do celników, aby przepuścili
za godzinę, nie po pięciu. Wtedy zacząłem się w Grecji
zakochiwać. Przyjeżdżaliśmy na parę godzin do Stomio,
wysadzaliśmy turystów, kierowcy odpoczywali
(zazwyczaj pijąc w bagażnikach), a ja sobie patrzyłem
na tę Grecję i ją chłonałem. Patrzyłem na ludzi,
próbowałem potraw, kąpałem się w morzu. Wieczorem
zbiórka w autokarze i w drogę. Znow jakież czterdzieści
kilka godzin.

Kolejnego roku, zbierając w Krakowie ogłoszenia

do jakiejś reklamowej gazetki medycznej, trafiłem do gabinetu medycyny niekonwencjonalnej. Oferowano tam takie usługi jak akupunktura, akupresura i świecowanie uszu. Aha! Była też i wróżka. Akurat tylko ona była obecna w tym skrzyżowaniu cyrku z buddyjskim klasztorem. Jako że wróżka akurat nie miała nic lepszego do roboty ani żadnych planów na wieczór, zaproponowała, że poróżni mi, a ja wieczorem do niej wpadnę na wino. Zgodziłem się. Wróżka wzięła moją rękę, spojrzała mi w oczy i wyłożyła karty. Wtedy to dowiedziałem się, że wyjadę gdzieś daleko na kilka miesięcy, że ruszę w podróż, która na zawsze odmieni moje życie. Pomyślałem, że polecę do Kanady albo USA, a tu hyc... I jak łatwo się domyślić, wylądowałem w Grecji. Już nie na noc czy na kilka godzin, ale właśnie na pół roku.

Kilka miesięcy po wizycie u wróżki dostałem propozycję objęcia funkcji rezydenta w kraju Achillea i Agamemnona.

Czas poznać Grecję

Staram się świadomie i z premedytacją nie robić z tego książki podróżniczej tylko przewodnik, więc co jakiś czas pozwolę sobie na ton naukowy, a jeśli przy okazji omawiania jakiegoś miejsca coś sobie ciekawego przypomnę z przeżyć własnych, radośnie to zamieszczę. Jako że nie raz ludzie zwracali mi uwagę, iż nie są w stanie zapamiętać wszystkiego albo im się myli i gubi pewne informacje, będę czasem coś powtarzał, aby było jasno i zrozumiale. Nie wiem jak inni, ale ja nie cierpię grzebać po książce i szukać czegoś sto stron wcześniej, potem trzydzieści później, by zrozumieć, o co chodzi na stronie, którą właśnie czytam.

Od czego by tu zacząć, by było wszystko jasne? (*Teraz chwila zastanowienia*). Może od początków życia na Ziemi? Może przewrotnie od ewolucji naczelnych? Może od dinozaurów, bo moim pierwszym marzeniem było zostać paleontologiem? Proszę się nie bać, zacznę od krótkiej historii naszego gatunku.

Jako że naukowcy nie zawsze są zgodni, w wielu dziedzinach nauki mamy do czynienia z różnymi teoriami. Większość teorii ma pewne wspólne założenia lub w dużej mierze się pokrywa. W przypadku dziejów człowieka na pewno jest to pochodzenie. Nasz gatunek wywodzi się z Afryki. Nie tylko nasz, ale także naszych bliższych i dalszych krewnych, zwanych hominidami, czyli człowiekowatymi.

Ewolucja lubi eksperymenty, a nasza rodzima planeta niekiedy daje swoim mieszkańcom mocno w kość, używając do tego różnych kataklizmów typu: erupcje, superwulkany albo zlodowacenia. Czasem oberwiemy z zewnątrz, czego miały okazje doświadczyć nieszczęsne gady, których królewska linia, czyli dinozaury, zostały eksterminowane z naszej planety po tym, jak sześćdziesiąt milionów lat temu meteoryt uderzył w Półwysep Jukatan. Coś tam jednak przetrwało ten kataklizm. Na przykład krokodyle albo ptaki. Tak, ptaki to właśnie potomkowie ocalałych dinozaurów. Jakby się ktoś zaczął gubić, to kończę już o dinozaurach, zaznaczając, że to tylko pewna grupa gadów. Krokodyl jest gadem, a do dinozaurów ani nie należał, ani nie należy. Podsumowując, część wyginęła, część przetrwała, a część ewoluowała.

Tak samo było z człowiekowatymi. Rozwijaliśmy się przez kilkadziesiąt milionów lat, dochodząc do tego, kim jesteśmy dziś. Próbowaliśmy przetrwać pośród kataklizmów i drapieżników. Co ciekawe, nie pochodzimy

od małpy, tylko mamy z małpami wspólnych przodków. W pewnym momencie szympansy poszły w swoją stronę, a my w swoją, tworząc węższą grupę, do której już należały bardzo bliskie nam stworzenia, takie jak neandertalczyk. Dociekliwym powiem, że obok nas i neandertalczyków żyły jeszcze dwa inne gatunki nam pokrewne.

Neandertalczyk wywędrował z Afryki dużo wcześniej niż my (kilkaset tysięcy lat wcześniej) i jego ślady znajdziemy w całej Europie. Gdy my jeszcze nie wyodrębniliśmy się jako *Homo sapiens*, nasz starszy kuzyn próbował już podbijać Europę i Azję. Natomiast my, czyli *Homo sapiens*, zaczęliśmy rozlewać się po świecie jakieś 70 000 lat temu. Co ciekawe, bardzo późno dotarliśmy do Europy, bo około 40 000 lat temu (Australię zasiedliliśmy 60 000 lat temu). Do Europy dotarliśmy w ostatniej chwili, by pożegnać naszego starszego kuzyna, neandertalczyka. Gdy my zaczęliśmy się rozmnażać, nasz starszy kuzyn powoli usuwał się w cień. Przez parę, może paręnaście tysięcy lat żyliśmy równolegle. Może uczyliśmy się czegoś od siebie, na pewno zdarzały się romanse między nami, o czym świadczą najnowsze badania genetyczne. Dlaczego neandertalczyk wyginął, do końca nie wiadomo. W każdym razie najstarsze ślady człowieka w Grecji, to właśnie neandertalczyk, czyli *Homo neandertalis*.

Homo sapiens, który przybył do Europy około 40 000 lat temu, zasiedlił ją, zamieszkując tereny wszystkich dzisiejszych krajów europejskich, w tym tereny obecnej Wielkiej Brytanii. Ktoś powie: „No panie, ale jak to? Przecież tam woda, kanał La Manche (na złość Francuzom, przez Brytyjczyków nazywany Kanałem Angielskim). Tu powiem, że umiejętność żeglugi została opanowana przez człowieka niewiarygodnie wcześniej. Australię zasiedlono 60 000 lat temu. Sześćdziesiąt tysięcy - nie sześć!

Pierwsi *Homo sapiens* osiedlili się również na zie-

miach dzisiejszej Grecji. Jest takie stanowisko jak jaskinia Franchti na Peloponezie. Owa jaskinia była zamieszkała już 35 000 lat temu.

No i wreszcie punkt milowy w dziejach Grecji, czyli okres około 9 000 lat temu, kiedy dokonano się takie dwutorowe zasiedlanie kraju. Jedna grupa zwana Pelazgami, pochodząca z okolic dzisiejszej Turcji (może Syrii), osiedliła się na kontynencie. Natomiast druga, pochodząca nie wiadomo skąd, zasiedliła Kretę.

5000 lat temu zaczęła się imigracyjna rewolucja w Europie, czyli Wielka Kolonizacja indoeuropejska. Wtedy z terenów między Morzem Kaspijskim a Czarnym przybyli przodkowie wszystkich ludów zamieszkujących współcześnie Europę. Wszystkich poza Węgrami, gdyż ci przybyli dużo później. Zatem 5000 lat temu przybyli: Germanie, Celtowie (czyli Gallowie jak Asterix), Ilirowie (ponoć przodkowie Albańczyków), Trakowie (Spartakus i Rumunii), Hetyci (ci zamieszkali na terenach dzisiejszej Turcji) i Grecy.

Już Europa prawie pełna. Została jeszcze Grecja do dokwaterowania, bo i Grecji ta wędrówka ludów nie ominęła. Tak do Grecji jakieś 3800 lat temu (1000 lat się wałęsali po Europie), przyszli Grecy. Można by rzec, Grecy właściwi. Ktoś może troskliwie zapytać: „A co z Pelazgami i innymi biednymi, starszymi mieszkańcami Europy?”. Odpowiedź nie jest taka straszna. Po prostu się wymieszali. Istnieje tylko jeden naród, który zachował swą dziewiczość od czasów, gdy pierwsi Homo sapiens postawili swoją stopę w Europie. To Baskowie. Wszyscy indoeuropejczy przybysze miesza- li się z tą starszą ludnością, a później ze sobą nawzajem. W Europie ludzi było mało, a ziemi dużo. Nikt nikogo nie musiał wypędzać ani wyganiać.

Wprawdzie nie jedziecie oglądać Sagrada Familia w Barcelonie ani Muzeum Salvadora Dali w Figueres, ale dam taki przykład Hiszpanii, bo jest dobrze opisany.

Pierwszy lud zamieszkujący Hiszpanię prawdopodobnie około 40 000 lat temu wstecz to Iberowie. Gdy nadeszli Celtowie, wymieszali się z nimi. Później domieszali się Rzymianie, następnie germańscy Wizygoci, którzy ustanowili tam swoje Królestwo.

A jak to było w Grecji? Prawdopodobnie, jakieś 3800 lat temu Pelazgowie mieszkali sobie obok tych Greków indoeuropejskich, specjalnie sobie nie szkodząc. Pozwalali nowym przybyszom zakładać osady, czasem wspólnie mieszkali, czasem może wojowali albo wchodzili w sojusze, czasem sobie podkradli krowę z pastwiska, a czasem robili wspólne imprezy, doprowadzając do mieszanych związków.

Okres 5000 - 4000 lat wstecz to czas pojawienia się brązu, czyli epoka brązu. Wcześniej była epoka kamienia.

Ufff... Chyba się udało zrobić jakieś wprowadzenie. Teraz już każdy wie, skąd kto się wziął i po co. Zatem czas na krótkie podsumowanie dziejów Grecji:

1. Jakieś 40 000 - 35 000 lat temu pojawia się Homo sapiens, a tym samym pierwsi ludzie.
2. 9000 lat temu fala osadnictwa przybywa z Azji na kontynent (Pelazgowie) i Krete (nie wiadomo skąd).
3. Około 3800 lat temu, czyli już w epoce brązu, przybývają na kontynent Grecy właściwi.
(Teraz oddech i będzie już z górki).
4. Około 3200 lat temu, Grecję, podobnie jak inne kraje świata śródziemnomorskiego, łącznie z Egiptem, dotykają różne susze, plagi, wojny i wędrówki ludów. Cywilizacja upada. To wydarzenie nosi nazwę „apokalipsy egejskiej”.
5. 2900 lat temu powoli w bólach i jękach cywilizacja się odradza. Przy okazji rozpowszechnia się żelazo, więc wchodzimy w epokę żelaza. Grecja się spokojnie

rozwija.

6. 2500 lat temu, czyli około 500 r. p. n. e. (tak teraz sobie zwinnie przejdę na podawanie czasu z „p. n. e.”) Grecja wchodzi w dość niesympatyczne relacje z Persją.
7. Lata 350 - 330 p. n. e. to czas nagłego pojawienia się na arenie dziejów Grecji władców Macedonii (z wielkimi i dobrymi armiami), a w efekcie okres podbojów Aleksandra Wielkiego.
8. Około 100 r. p. n. e. Grecja zostaje podbita przez Rzym. Rzymski podbój niesie w pakiecie różne dodatkowe atrakcje typu rzezie miast, najazdy barbarzyńców bądź spustoszenia wywołane rzymskimi wojnami domowymi.
9. Około 0 roku mają miejsce narodziny Jezusa.
10. 550 r. (już naszej ery) to okres panowania Justyniana i reaktywacji Grecji jako Cesarstwa Bizantyńskiego.
11. W 1453 r. upada Konstantynopol, czyli de facto następuje koniec Bizancjum i czas okupacji tureckiej.
12. W 1821 r. ma miejsce powstanie przeciwko Turkom, zakończone odrodzeniem państwa greckiego.
13. W latach 1912 - 1913 toczą się dwie wojny bałkańskie, w wyniku których ustanowione zostają granice współczesnej Grecji.
14. Lata 1919 - 1922 to czas wojny z Turcją o wybrzeża tureckie i Konstantynopol.
15. W latach 1945 - 1949 toczy się wojna domowa w Grecji.
16. Lata 1967 - 1974 to okres junty, czyli dyktatury czarnych pułkowników.

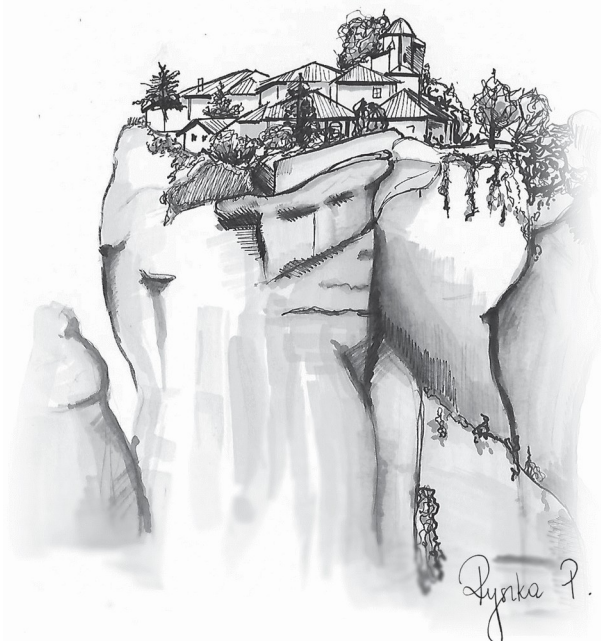
A jak to jest teraz, to każdy wie z gazet czy telewizji, albo widzi sam, jak odwiedzi Grecję...

Gdzie w tej Grecji się zainstalować?

No właśnie, najważniejsze pytanie na wszelakich forach internetowych, gdzie jakieś snoby usiłują brylować wyjątkowością miejsca, które odwiedzają. Każdy ma jakiś swój ulubiony zakątek, zwłaszcza taki, gdzie się poznał i zintegrował z gospodarzami, gdzie go witają jak dalekiego krewnego, i gdzie na niego czekają. Na pewno lepiej zapamiętają człowieka w rybackiej chatce, do której można dojechać na osiołku niż obsługę w pięciogwiazdkowym hotelu, to oczywiste. Po prostu im mniej ludzi bywa, tym łatwiej człowieka kojarzą. Ale co człowiek, to inne preferencje. Jedni lubią mieć z głowy zakupy czy posiłki, inni sobie robią coś w rodzaju małej robinsonady - do kiosku 5 kilometrów, do miasta 30, do autostrady 60. Turystyka zorganizowana, zwłaszcza nastawiona na zwiedzanie, preferuje obiekty o jakimś sensownym standardzie („Panie, za co my płacimy, to mają być 3 gwiazdki?!”). Ludzie zawsze mieli różne motywacje i różne potrzeby. Są tacy, co chcą odpocząć, i tacy, co intensywnie eksplorują okolicę i jadą na wszystkie możliwe wycieczki. A gdzie w tym prawdziwa Grecja? Prawdziwą Grecję to każdy znajduje swoją. Dla jednych to mała wysepka, dla innych rodzinny hotel, jeszcze dla innych to Ateny. Ilu ludzi, tyle wersji. Jak jednak ktoś chce zwiedzać, to warto znaleźć sobie takie dwie bazy: jedną na Riwierze Olimpijskiej, drugą w okolicach Kanału Korynckiego lub między Kanałem a Atenami. Wtedy można sobie dozować zwiedzanie i kąpiele w dowolnych proporcjach. Jeśli jednak ktoś woli jedno miejsce, to zdecydowanie Riwiera. Można jednodniowymi wycieczkami odwiedzić to, co w Grecji najciekawsze, czyli takie turystyczne bestsellery jak Meteory czy Ateny. Można też wybrać się na Olimp. Przyjęło się, że Olimp

to najwyższa góra w Grecji. Tak... A jak jest naprawdę z tym Olimpem i najwyższą górą Grecji? W rzeczywistości najwyższym szczytem Grecji jest Mitikas, położony w paśmie Olimpu. Olimp to nazwa pasma górskiego, nie szczytu.

Meteory i Kościół



Ruszamy do Meteorów, czyli śniadanie i kawa

Jak pisałem we wstępie, Meteory to była moja pierwsza, samodzielnie prowadzona wycieczka. Dodam, że dość spontanicznie i jakoś bez wyrozumiałości ze strony jej uczestników. Ale do rzeczy. Meteory to taka wycieczka, którą można zacząć sobie wczesnym śniadaniem. Śniadania hotelowe są różne. Jak się komu wydaje, takie robi. W Grecji w zasadzie coś takiego jak śniadanie nie istnieje. Skoro tutaj wszyscy kolację kończą około pierwszej w nocy i śpią pięć godzin, to trudno nagle o świcie mieć chęć na jaja na bekonie, jajecznicę i kanapki. Albo zupełną mleczną i parówki. Tu są zupełnie inne zwyczaje żywieniowe, a przede wszystkim inne pory posiłków. Wymusza to upał, a co za tym idzie, sješta, czyli południowa drzemka (taka do siedemnastej). Jak to znajomy kiedyś powiedział, greckie śniadanie to kawa i kilka papierosów. Pierwsze co mnie uderzyło w Grecji to powszechność palenia. Chyba tylko w kościele się tu nie pali i na sali operacyjnej. Wprawdzie i tu dotarła moda na zdrowy tryb życia, ale starsi Grecy jak palili, tak palą, gdzie chcą. Przepisy jakoś specjalnie temu obyczajowi nie szkodzą. Można powiedzieć, że w Grecji zakaz palenia w lokalach się po prostu nie przyjął. Niby nie wolno, ale kto chce, to pali. A jak ktoś pali, to wie, że najlepiej się pali do kawy. A że po późnej kolacji, zazwyczaj zakrapianej winem, najlepsza jest poranna kawa, tak też nie braknie przy niej papierosów.

Dla turystów greckie hotele oferują zazwyczaj kawę z baniaka, czyli takiego urządzenia grzejącego kawę w ilości 10 litrów, która jest w zasadzie kawą nie wiadomo jaką. Ani to cappuccino, ani to kawa grecka, ani z filtra.

To jest po prostu kawa z baniaka. I jak się nazywa, tak właśnie

smakuje. Jakby ktoś się w niej rozsmakował, to można w domu sobie taką zrobić... Wystarczy wziąć garnek z wodą, nasypać tam kawy i odgrzewać w nieskończoność, a potem sobie nalewać do kubka chochelką. Smakuje dokładnie jak hotelowa. Grecy wprawdzie celebrują kawę, ale to jak już sobie każdy indywidualnie zamówi i opisze, jaką kawę chce, to taką wtedy dostanie. Natomiast hotelowa, to hotelowa, czyli z baniaka.

Kolejny napój w ofercie śniadaniowej to herbata. Zawsze i wszędzie jest to żółty Lipton. Ta herbata podbiła całą turystykę, i tam, gdzie serwują czarne herbaty, na 99% będzie to żółty Lipton. W Grecji herbaty się nie pija. Nie ma takiego zwyczaju. Herbatę piją chorzy, przeziębieni, ale wówczas nie Liptona. Lipton jest dla turystów, bo podobno turyści lubią. Za to, jeśli ktoś podróżuje przez Serbię, to dla niego na pewno będzie niespodzianką, że tam z kolei nie pija się herbat czarnych, tylko ziołowe albo owocowe. Jak ktoś sobie na stacji benzynowej zamówi herbatę, to dostanie miętę albo rumianek. Podobnie w hotelach jest herbata w dzbankach, wszyscy biegną uradowani, a tam czeka na nich dzika róża, hibiskus albo owoce lasu. Co kraj, to obyczaj.

Kolejny napój śniadaniowy, obecny we wszystkich hotelach greckich, to taki napój pomarańczowy. Coś jak kiedyś u nas woda firmowa. W zależności od tradycji hotelu, napój firmowy może być wodnisty, za słodki albo w sam raz.

Mamy zatem kawę z baniaka, herbatę Lipton i grecką wersję napoju firmowego. Można się rozejrzeć dalej, co tam czyha na nas na półmiskach.

Chleb jest zawsze. Jakieś smarowidła również. A podstawa to żółty ser i szynka. Cała Grecja ma jeden rodzaj sera żółtego hotelowego i jeden rodzaj szynki. Wszędzie

smakują tak samo, a smakują dobrze. Szynka przypomina tę polską, prasowaną, co była eksportowana w dużych puszkach, dostępna w Pewexie. Ser jest dużo lepszy niż sery polskie, bo ma smak. Kupując sery w Polsce, mam wrażenie, że mimo różnych nazw, smakują tak samo. Sery we Francji, Holandii, Danii, Włoszech, w zależności od odmiany, to inne smaki. U nas tak po prostu łagodnie, czyli nijak. Jak jesteśmy potęgą kielbasianą, tak z serami coś się nie udało. W Grecji raczej nie podaje się wędliny typu szynka zwinka. Szynka zwinka to taka wędlina, która po dłuższym pobycie na półmisku zaczyna nieśmiało unosić brzegi plasterka ku górze, po czym w ciągu następnej godziny zwija się w różowy rulonik, pozostawiając pod sobą plamkę wody. Rulonik z czasem szarzeje. Z czasem, czyli w ciągu następnej godziny. Stąd właśnie jej nazwa, że plasterek się staje zwiniętym rulonikiem.

Coraz częściej, przy okazji takiego wydarzenia jak śniadanie, pojawiają się jaja. Niegdyś bywały na twardo, ale jako że niektórzy wczasowicze lubili je chować w kieszeń na tzw. „czarną godzinę” (i to więcej niż przysługiwało), zaczęto podawać jaja sadzone. Wszyscy pojedli, to możemy ruszać na Meteory.

Zazwyczaj zaczynam od geografii, czyli czym ta Riwiery jest, jaki jest podział administracyjny Grecji i co widać za oknem. Jak ktoś rusza z Riwiery Olimpijskiej, to ma po lewej stronie Morze Egejskie, a konkretnie jego część zwaną Zatoką Termaikos, zaś po prawej masyw Olimpu. Natomiast, jeśli ktoś rusza z Riwiery Tesalijskiej (Kokkino Nero), to ma Zatokę Termaikos po prawej, zaś po lewej, masyw Ossa, czyli Kissawos. Oba szlaki, czyli i z Riwiery Olimpijskiej, i Tesalijskiej, schodzą się w wąwozie Tembi, czyli przed pierwszą atrakcją całej wycieczki. Po drodze pojawią się ciekawe rośliny. Drzewa oliwne łatwo poznać, bo mają bardzo charakterystyczny kolor liści, oliwkowy właśnie. Tak mniej więcej

10 kilometrów przed wąwozem Tembi znajdują się bardziej tajemnicze uprawy czegoś, co wszyscy na pierwszy rzut oka biorą za winorośl. Ciemne liście, niskie pieńki, a to wszystko podtrzymywane na jakichś palikach i drutach. Podpowiem. Może to się kojarzyć zarówno z pastą do butów, jak i z ptakiem. Brązowy, włochaty z zewnątrz owoc, a w środku zielony. Tak, to kiwi. Północna Tesalia to prawdziwe zagłębienie upraw kiwi. Podobnie jak południowa Macedonia. Oczywiście grecka Macedonia. I Nowa Zelandia, skąd kiwi pochodzi.

O co chodzi z Macedonią?

Tutaj słowo wyjaśnienia, o co chodzi z tym sporem o Macedonię i całą zawieruchą na arenie międzynarodowej. Otóż, jest Macedonia w Grecji i jest poza Grecją, czyli Republika Macedonii. Tę opowieść można sobie rozwinąć w czasie przejazdu przez ten malowniczy kraj, czyli Republikę Macedonii, lub jadąc do Salonik, ale jak ktoś nie ma ich w planach wycieczkowych, to warto wspomnieć o Macedonii, mijając Nei Pori w drodze do Meteorów.

Otóż Macedonia jest grecką nazwą i oznacza zarówno współczesne greckie województwo, jak i jedno z wielu greckich starożytnych państw. I tak Filip II czy jego syn Aleksander Wielki to Grecy z Macedonii, Perykles był Grekiem z Aten, a Leonidas ze Sparty. Starożytną Macedonię, podobnie jak starożytny Epir, zamieszkiwali Grecy. Ich języki to dialekty greckiego, a tych w Grecji nie było mało. Wprawdzie Grecy, zwłaszcza z Aten, propagandowo nazywali Macedończyków barbarzyńcami, czyli nie Grekami, ale przecież przodek i imiennik Aleksandra Wielkiego, zwany hellenofilem (przyjacielem czy miłośnikiem

Greków), po całej procedurze weryfikującej możliwość jego udziału w igrzyskach w Olimpii, a te przecież były zarezerwowane tylko dla Greków, został dopuszczony do zawodów. Po prostu zbadano jego drzewo genealogiczne i wyszło czarno na białym, że jest Grekiem. Tak samo byli nimi jego następcy, w tym Filip II i Aleksander Wielki.

Jednak w IV w. p. n. e. Macedończycy podbili Traków i Ilirów, zamieszkujących dzisiejsze tereny Bułgarii, Republiki Macedonii i częściowo Serbii, co nam później namieszało w nazewnictwie geograficznym (nazwa Macedonia rozciągnęła się na część terenów podbitych na Bałkanach przez Macedończyków). Dwieście lat później Państwo Macedońskie zostało podbite przez Rzym, i z całym dobrodziejstwem inwentarza włączone do Imperium jako prowincja Macedonia. To Rzymianie namieszali, nazywając Macedonią nie tylko ziemie greckie, ale także te przez Greków podbite. I tak jak to czasem bywa, nazwa została i się przykleiła do pewnej części Bałkanów, dzielonych obecnie przez Grecję i Macedonię.

Jest też sprawa etniczna, dotycząca pochodzenia mieszkańców. O ile w greckiej, czyli tradycyjnej Macedonii mieszkają Grecy, o tyle w słowiańskiej Republice Macedonii są Bułgarzy, Serbowie i Albańczycy, niemający żadnego związku ze starożytną Macedonią, mimo że na każdym kroku starają się to udowodnić czy to nazwą państwa, czy też nazywając swoje lotnisko albo autostradę imieniem Aleksandra Wielkiego. Trochę to tak, jakby Turcy nagle nazwali siebie potomkami Rzymian, a swój kraj Italią, bo kiedyś ich ziemie były pod panowaniem rzymskim.

Prawda tutaj jest mocno niewygodna politycznie, a przy okazji niespecjalnie znana komuś spoza Bałkanów. Ale jest jasna, jak to z prawdami zazwyczaj bywa. Otóż,

w początkach średniowiecza usadowili się na Bałkanach Bułgarzy. Stworzyli potężne państwo sięgające Wielkiego Stepu. Państwo było wielkie przez chwilę, bo jak to zwykle w dziejach bywa, mądrzy królowie mają głupawych synów, którzy trwonią całą ojcowiznę. Tak też Bułgaria się rozpadła na kilka mniejszych państw, i została nam w Europie ta w kształcie obecnym plus ziemie Republiki Macedonii. Powinno to trochę Bułgarów ostudzić w podziałach. Ale nie... Dzielili się dalej jak komórka. Bułgarskie dzieci uczą się w szkołach, że Republika Macedonii to część ich państwa, która to część się kiedyś odłączyła. Skoro się odłączyła, więc może się kiedyś przyłączy.

W obu wojnach światowych Bułgaria anektowała Republikę Macedonii jako swoją dawną prowincję. Obecnie nie ma tam wojny, ale Bułgarzy, zainteresowanym Macedończykom, wydają bułgarskie paszporty. Po prostu wedle Bułgarów, a przy okazji zgodnie z historią, Republika Macedonii to część ich średniowiecznego królestwa. Za to w Republice Macedonii twardo usiłują wierzyć, że są potomkami wojowników Aleksandra Wielkiego i zupełnie nie dociera do nich, że Słowianie się pojawili w Europie tak z tysiąc lat po upadku Macedonii i nie było żadnych szans na to, żeby jacyś Słowianie służyli w armii Aleksandra. Ale to nie ma znaczenia. To taki mały detal. Jak to filozof Hegel powiedział: „Jeśli teoria nie zgadza się z faktami, tym gorzej dla faktów”...

Wąwóz Tembi - pierwsza brama Grecji

Wróćmy do Meteorów, bo zapewne już wjechalibyśmy do wąwozu Tembi. Wąwóz Tembi to jedno z piękniejszych miejsc w Grecji. Gdy jedziemy na

południe, po lewej stronie mamy strome stoki masywu Ossa (albo Kissawos - te nazwy stosuje się wymiennie). Za to po prawej widać trzecią co do długości rzekę Grecji, czyli Pinios, pionowe ściany masywu Olimpu i z rzadka nasyp starej linii kolejowej (obecna znajduje się w tunelu, bo pasażerowie narzekali, że na głowę im spadały kamienie i skały).

Zaraz na początku wąwozu widać źródło Dafne (Dafni), nimfy, która nie chciała ulec zalotom Apollona, aż uprosiła ojca, by ten zmienił ją w krzak laurowy. Liść laurowy się dodaje do zup, więc jak tylko panie się dowiedzą, że krzaki, jakie rosną obficie w wąwozie to właśnie liście laurowe, zaraz biegną po siatki, żeby ich nazbierać.

Będzie też źródło Afrodyty, z rzymskiego nazwanej Wenus. Jeśli Afrodyta ma się kojarzyć z urodą i pięknem, to na pewno te cechy nie objawiają się w wyglądzie jej źródelka. Ot, jakaś woda sobie cieknie i bardziej to przypomina wodopój dla leśnych zwierząt niż coś wartego odwiedzenia.

Tu od razu wyjaśnię, dlaczego raz pisze się Wenus, a raz Afrodyta. Otóż Rzymianie i Grecy mieli wiele bóstw, które były swoimi odpowiednikami. Posejdon - Neptun, Eros - Amor, Hefajstos - Wulkan, Ares - Mars i właśnie Afrodyta - Wenus. Jednak to, co najważniejsze i najciekawsze w Tembi, to sanktuarium Agia Paraskevi.

Agia Paraskevi - jaskinia z cudownym źródłem

Jako że wycieczka jest wybitnie religijna w swym nastroju i tematyce, zagłębimy się w świat greckiej religii. W języku greckim *agia* (w rodzaju żeńskim) czy *agios*

(w rodzaju męskim) oznacza „święta” lub „święty”. Stąd w językach europejskich słowo „hagiografia”, czyli opisywanie żywotów świętych, pisanie o świętych. Notabene drugi człon słowa „hagiografia” też jest grecki i oznacza „pisanie”. *Grafo* znaczy „pisać”. Stąd grafologia czy grafomania. Dla wnikliwych, czasem na ikonie widać napis nie *agios*, a *osios*. *Osios* znaczy „błogosławiony”. Jak już wiemy, co oznacza pierwsza część nazwy miejsca, pora na drugą, czyli na imię. Zastanawiam się, jak ten temat ugryźć, bo źródeł w kraju jak na lekarstwo, trzeba się więc pobawić w detektywa.

Wedle średniowiecznej tradycji, świętych często przedstawiano tak, by ikona opowiadała o ich męczeństwie. Agia Paraskevi trzyma w dłoniach tackę, na której są oczy. Musiała więc mieć je wylupione. Skojarzyć się to może ze św. Łucją, która w czasie mąk miała właśnie wylupione oczy. Jej winą było to, że nie chciała wyjść za normańskiego księcia Sycylii. Zatem najprawdopodobniej (nie na pewno) pod imieniem Agia Paraskevi czci się św. Łucję. Jak ktoś ma inne zdanie, proszę iść się kłócić do Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, bo stamtąd ta wiedza do mnie przybyła.

Agia Paraskevi, praktycznie nieznana w Polsce, bo to Święta popularna i czczona w Kościele prawosławnym, jest jedną z ważniejszych świętych Grecji. Jest patronką kolejarzy, Romów, osób, które mają problemy ze wzrokiem albo są całkiem niewidome. Przy okazji, jej imię nosi wiele miasteczek czy wiosek w Grecji. Paraskevi to także powszechnie imię żeńskie.

Do sanktuarium schodzimy kamiennymi schodami prosto z parkingu, po drodze mijając stragany z pamiątkami, i starając się nie nadepnąć jednego z licznych półdzikich kotów, które grasują po okolicy. Na straganach jak na rasowym odpuszcie. Plastikowe buteleczki w kształcie Świętej z obowiązkowo odkręcaną głową (to samo

co w Lourdes we Francji), ikony, krzyże, kubki, kubeczki, bransoletki, naszyjniki, kaptcie góralskie oraz inne cudeńka i błyskotki, jakie można w takich miejscach spotkać. Zakupy to kwestia gustu, acz na jakąś specjalną jakość bym nie liczył. Kiedyś nabyłem tam kubek do kawy z obrazkiem, który przedstawiał most nad rzeką Pinios, choć bardziej przypominał taką kładkę z lin gdzieś w Andach, po jakiej skacze Indiana Jones albo Lara Croft w filmach. Fakt, parę razy kawy z tego kubka się napiłem, może parędziesiąt, ale po przywiezieniu do Polski, kubkowi chyba zmiana klimatu zaszkodziła, i pewnego ranka kubek wraz z zawartością wylądował na podłodze, a mi w ręce na pamiątkę zostało ucho od kubka. Pamiątka z wąwozu Tembi...

Kiedy przebijemy się przez kramy, czeka nas most. I to nie byle jaki most, bo most wiszący. Stalowo - betonowa konstrukcja kojarzyć się może raczej ze stabilnością i sztywnością, jednak w tym przypadku okazuje się, że beton też jakąś tam elastyczność ma, a już na pewno przenosi drgania.

Jak przejdziemy wiszący mostek, na wprost i minimalnie na lewo mamy kaplicę św. Paraskevi, w prawo w dół - schody do wody, a idąc trochę do przodu (trochę, czyli jakieś 10 metrów) i skręcając w prawo, zaraz widać wejście do jaskini z cudownym źródłem. Kaplica nie jest stara jak na Grecję, bo raptem przedwojenna (nie wiem, jaka sytuacja będzie na świecie, gdy ktoś to wyda, więc zaznaczam, że chodzi o II wojnę światową). Jest też regularnie odnawiana dość inwazyjną metodą. Po prostu maluje się ją na nowo od środka co jakiś czas. Zaraz padnie pytanie, czy to freski. Otóż nie.

Fresk (z włoskiego *fresco*, czyli „świeży”) oznacza technikę malowania na wilgotnym tynku. Pigment, czyli kolory kładzie się na wilgotny tynk, dzięki czemu malowidła ścienne są dużo trwalsze. Pigmenty wiążą się chemicz-

nie z tynkiem. Jest to technika trudniejsza, wymagająca lepszej organizacji pracy niż malowanie na suchej ścianie. Zatem nie wszystkie malowidła ściennie to freski. Inaczej się też freski konserwuje. Kiedyś w Krakowie, w pewnym kościele, ktoś nie doczytał, z czym ma do czynienia, i konserwatorzy „rozdziabdziali” jakimiś płynami malowidła naścienne, bo myśleli, że to freski. A to freski nie były.

W Grecji zabytków młodszych niż 500 - letnie się specjalnie nie otacza wielką opieką, zresztą chyba w kraju, w którym najstarsza osada (Seslko) liczy sobie prawie 9000 lat, nikt malowidłami przedwojennymi nie będzie się przejmował.

Dla wielu grup kaplica Agia Paraskevi to pierwszy kontakt z grecką świątynią. Może w małej skali, ale za to dobrze odwzorowująca plan czy układ takich budowli. Bardzo ciekawą sprawą jest możliwość zerknięcia do prezbiterium, gdyż, co niezwykle na Grecję, nie jest zasłonięte jak w innych świątyniach. Ale po kolei...

Architektura sakralna podana lekko

W Grecji są w zasadzie dwa typy kościołów: rzymski (czyli bazylika) albo bizantyński (tzw. kopułowy). Poza tym są różne formy pośrednie. Wzorcowy kościół typu bazylikowego będzie podłużny, pozbawiony kopuły, a jego dach układa się w takie schodki czy kaskady. Dach, idąc od góry, jest skośny, potem pionowy, potem znów skośny, a czasem jeszcze parę razy pionowy i skośny - tak na zmianę. W częściach pionowych ma okna. Taka konstrukcja dachu służyła doświetlaniu budowli, żeby było jaśniej nie tylko przy ścianie z oknami, ale także trochę światła wpadało przez okienka w pionowych częściach dachu. Bazyliki rzymskie nie były wysokie i strzeliste, tak jak katedry

gotyckie, w których można było wstawić wysokie okna. Bazylika rzymska była niska i szeroka. Ten typ świątyni czy może raczej budowli, bo powstała ona jeszcze przed chrześcijaństwem, wynaleźli Rzymianie. Najbardziej znany przykład konstrukcji bazylikowej to kościół św. Demetriusza w Salonikach.

Kościół kopułowy, czyli bizantyński to najczęściej spotykany typ świątyń w Grecji i dla odmiany zazwyczaj jest na planie kwadratu. Zawsze ma kopułę, a jego rzut układa się w kształt krzyża greckiego. Właśnie kaplica Agia Paraskevi swą formą nawiązuje do kościołów bizantyńskich. Nie ma jednak kopuły, gdyż wykorzystuje częściowo naturalny układ skały. Świątynia ma dwie części. Nawę, do której można wejść, i prezbiterium, czyli część oddzieloną ikonostasem. Tam może wchodzić tylko kapłan.

Ikonostas to drewniana konstrukcja zdobiona roślinnymi motywami, która oddziela prezbiterium od nawy. Na chwilę wspomnę właśnie o prezbiterium, jako że bardzo rzadko można je w Grecji zobaczyć. Pokusa, żeby fotografować, wielka, ale nie wolno. No, nie wolno, ale... Bez flesza jakoś ujdzie. To jeszcze nie Meteory, gdzie potrafią aparat czy kamerę skonfiskować. Tutaj tylko okrzyczą.

W prezbiterium widzimy ołtarz, nad nim rzeźbiony baldachim (czyli cyborium), zaś po prawej stronie na ścianie wisi ciemnopurpurowa tkanina haftowana złotą i srebrną nicią, przedstawiająca Jezusa leżącego na marach, czyli zdjętego z krzyża. Ta tkanina nazywa się epitafios. W czasie Wielkiej Nocy jest kładziona na ołtarzu, a w Wielką Niedzielę jest obnoszona po parafii podczas uroczystej procesji.

Prezbiterium gotowe. Teraz ikonostas, czyli ta konstrukcja, na której wiszą ikony, a która nam oddziela

(i zazwyczaj zasłania) prezbiterium od reszty świątyni. Ikony wiszą w określonym porządku. Jak staniemy centralnie na wprost ikonostasu, naprzeciwko wrót, to patrząc w prawo, będziemy mieli ikony Jezusa i Jana Chrzciciela (w takiej właśnie kolejności), zaś gdy spojrzymy w lewo, zobaczymy ikonę Matki Boskiej i ikonę przedstawiającą patrona lub patronkę świątyni, a w tym wypadku jest to Agia Paraskevi. To taka zasada ogólna. Czasem są od niej odstępstwa, ale sporadycznie.

W kaplicy można zauważyć ozdobne trony (jak łatwo się domyślić, są one zarezerwowane dla duchownych) i obraz, przy którym wiszą różne wota. Są zatem wieczne lampki, ikony, okulary czy małe, metalowe blaszki przedstawiające zazwyczaj oczy, czasem niemowlę. To taki rodzaj powierzenia swoich spraw Świętej. Kto ma problemy ze wzrokiem, wiesza blaszkę z oczami, a kto chce zająć w ciężę, blaszkę z niemowlęciem. Jak ktoś wiesza okulary, to znak, że mu się poprawiło po wstawiennictwie Świętej. Ten obraz obwieszony wotami to najważniejsza ikona w świątyni. Ikona, która została znaleziona w pobliskiej jaskini. Gdy znów staniemy na wprost ikonostasu, po naszej lewej stronie zobaczymy kolejny obraz Agia Paraskevi oprawiony w srebro, a obok niego malutką szkatułkę z fragmentem kości Świętej.

A teraz zagadka. Jakie ptaki i jaka roślina użytkowa najczęściej się pojawiają na płaskorzeźbach w świątyni? Proszę znaleźć po dwie z każdego rodzaju.

1. Winorośl to bardzo popularny symbol chrześcijaństwa i kojarzy się ze zmartwychwstaniem Jezusa, jego krwią i ofiarą.
2. Dwugłowy orzeł to herb Kościoła greckiego, który wywodzi się od herbu ostatniego cesarza Bizancjum, a właściwie jego rodu. Ostatnia dynastia Bizancjum to ród Paleologów, a ostatni cesarz, Konstantyn XI zgi-

nał wraz ze swoją stolicą, gdy w 1453 r. Turcy zdobyli Konstantynopol, co w zasadzie było kresem Cesarstwa. Choć zostało tam jeszcze trochę wolnych ziem na Peloponezie czy Trapezuncie, to były to takie niedobitki, które Turcja szybko wchłonęła bez walk.

3. Kolejny, bardzo popularny motyw na płaskorzeźbach to paw, który w sztuce bizantyńskiej symbolizuje wieczność.

A teraz wreszcie to, co najbardziej widać, czyli malowidła ściennie. Na pewno rzuca się w oczy ich obfitość. W Meteorach jeszcze bardziej będzie to widoczne, gdyż tam malowidła są od podłogi po najwyższy punkt świątyni, czyli czubek jej kopuły. Malunki posiadają swój sens i symbolikę, a większość postaci ma swoje stałe miejsca. Zacznijmy od góry, czyli od kopuły. Wprawdzie kaplica Agia Paraskevi kopuły nie ma, ale jest tak pomalowana, jakby ją miała. Na samym szczycie jest Chrystus Pantokrator, czyli Władca Świata. Przedstawiony jest jako władca i prawodawca. Poniżej będą aniołowie, zazwyczaj z trąbkami, czyli chóry anielskie. Jeszcze niżej powinni być prorocy (nie zawsze są) i wreszcie apostołowie, przy czym czterech ewangeliści są wyróżnieni na czterech stronach świątyni. Poniżej zaś różni święci albo sceny ze Starego lub Nowego Testamentu. W Agia Paraskevi można łatwo zauważyć scenę Przemienienia Pańskiego, albo ikonę św. Jana Chrzciciela (jego poznajemy po włosiennicy albo po tym, że trzyma w rękach głowę).

Jeszcze można wrzucić jakąś drobną monetę, wziąć świecę z wosku pszczelego i zapalić ją w intencji bliskiego zmarłego, wychodząc z kaplicy. Kaplicę mamy gotową, więc czas na jaskinię.

Aha, zaraz po wyjściu z kaplicy, po lewej stronie mamy schody w górę, prowadzące do starej stacji kolejowej. Po ciągi nie jeżdżą tam od lat, jak wspominałem, obecnie

mają do tego tunel. Kiedyś, gdy pociąg kursował po nasympie (a nie w tunelu), przy sanktuarium był przystanek, na którym ludzie mogli sobie wysiąść, by pójść pomodlić się, zapalić świeczkę i potem ruszali dalej.

Jak wyjdziemy z kaplicy, mijając schodki na starą stację i wychodząc na dziedziniec, tak że mamy na wprost nasz rozhuśtany most, udamy się w lewo, by po parunastu metrach dojść do ozdobionego łukami wejścia do jaskini. To tutaj zaczęła się historia całego sanktuarium. Kiedy dokładnie, to za bardzo nikt nie wie, ale zdaje się, w czasach nie tak bardzo nam odległych, maksymalnie dwieście lat temu, jakiś pasterz pasał sobie tam owce. Jedna z nich zaplątała się w jakieś kolczaste krzaki i zaczęła wołać pomocy. Pasterz przybiegł biedne stworzenie wyswobodzić i zauważył, że kolczaste krzaki porastają wejście do jaskini. Jakimś nożem czy toporkiem udroził wejście, i wiedziony ciekawością postanowił zajrzeć, co tam też w tej jaskini może być. W jaskiniach są zazwyczaj zbóje, smoki albo skarby. I na tą trzecią ewentualność zapewne liczył nasz bohater. Poniekąd jego życzenie się spełniło, bo na końcu niezbyt głębokiej jaskini znalazł źródelko i jakiś pakunek. Gdy go rozpakował, ujrzał ikonę Agia Paraskevi, która obecnie znajduje się w kaplicy, obwieszona darami i wotami. Jest źródelko, jest pastuszek, jest znaleziony obraz, więc wszystkie warunki do stworzenia sanktuarium zostały spełnione. Początkowo była to po prostu jaskinia. Nie wiem, gdzie znajdował się obraz nim zbudowano kaplicę, ale też ciekawa jest historia z budową samej kaplicy i obudowaniem wejścia do jaskini. Otóż w początkach XX wieku zdarzyło się tam trzęsienie ziemi. Na tyle feralne, że olbrzymi blok skalny zatarasował torowisko. Komunikacja w Grecji została sparaliżowana. Kolejarzom się zrobiło niewesoło, bo ani to wysadzić, ani porąbać.

Postanowili więc coś zjeść, napić się wina, zdrzemnąć się i poczekać na inspirację. Gdy ekipa spała, przyszły kolejne wstrząsy, które zrzuciły głaz z torowiska niżej, prawdopodobnie w okolice dzisiejszej kaplicy. To już zakrawało na cud. I też tak zostało odczytane. Kolejarze obrali Agia Paraskevi za swoją patronkę i ufundowali budowę całego sanktuarium z kaplicą, mostem i ozdobnym wejściem do jaskini. Jeszcze jedna rzecz. Obok jaskini jest tablica pamiątkowa, poświęcona greckim żołnierzom i partyzantom poległym w walce z Niemcami, okupującymi Grecję w czasie II wojny światowej.

Teraz taka sprawa organizacyjna, chyba najważniejsza na wszelakich wycieczkach, czyli toalety. Ten przybytek wieloosobowy (oczywiście kabiny są osobne, tylko jest ich wiele, stąd określenie „wieloosobowy”) znajduje się po lewej stronie kaplicy. Gdy stoimy twarzą do kaplicy, idziemy w lewo jakieś 100 metrów. Robimy głęboki wdech i wchodzimy. Jak na razie, czyli w roku 2015 (w 2017 w niektórych wisi papier) toalety są zdecydowanie dla osób, które bardzo muszą właśnie w tej chwili...

Po odwiedzeniu sanktuarium, ruszamy w dalszą drogę. Większa część wąwozu przed nami, a po drodze kolejne atrakcje. Jakiś kilometr za sanktuarium Agia Paraskevi jest wspomniane już źródło Wenus czy Afrodyty. Żadna to atrakcja, a jak ktoś koniecznie musi się sam przekonać, jak tam jest, to polecam założyć gumki, żeby się nie ubłocić.

Kolejny punkt to wielki głaz po lewej stronie szosy, z wyrytym na nim włoskim nazwiskiem i datą. Kilka lat temu właśnie ten blok skalny zabił jednego z włoskich inżynierów pracujących przy budowie tunelu w masywie Ossa. Nie wiem kiedy, ale za jakiś czas na pewno będzie szła przez wąwóz Tembi autostrada, właśnie tunelem. (Jest! Hurra! Otwarli w 2017 roku). Zatem malowniczą drogą obok sanktuarium czy źródełek Dafni i Afrodyty

pojadą już tylko ci, którzy specjalnie tego będą chcieli, bo główny ruch będzie szedł właśnie tunelem. (Skończyłem pisać w 2017 i tunel jest wspaniały. Czasem szukam pretekstu, żeby jechać z Kokkino Nero do Larisy, żeby go znów zobaczyć)!!!

Wypadek z włoskim inżynierem wywołał panikę w Grecji, i wąwóz zamknięto na pół roku. Do czasu, aż szwajcarska firma zainstalowała ochronne siatki zatrzymujące kamienie. Grecja jest krajem aktywnym sejsmicznie i czasem się zdarza, że coś się odłupie od skał i chce spaść na jezdnię. Teraz na szczęście są siatki i nic już na nikogo nie spada.

Kiedyś, przy okazji wyjazdu sylwestrowego, ruszyliśmy, by odwiedzić Meteory, a tu kierowca ze znajomego autokaru, który wyjechał wcześniej, zadzwonił, że wąwóz zamknięty, a objazd przez Kokkino Nero został zablokowany przez policję. Chwilę zastanawialiśmy się, czy nie zaryzykować, i jak się można domyślić, zaryzykowaliśmy. Pojechaliśmy do Kokkino Nero, nie z autostrady u wejścia wąwozu, gdzie stała policja, ale takimi bocznymi dróżkami. Trzeba było jechać z Nei Pori wzdłuż linii kolejowej, potem skręcić przy starym domu, następnie jechać na południe, używając kompasu. Po drodze są dwie wioski, domek cały oblepiony muszelkami, a jak dojedziemy do krów, to tam skręcamy w lewo i prosto do Kokkino Nero. Policja blokowała drogę, gdyż asfalt był położony na utwardzonej ziemi, która się robi miękka w czasie zimowej, wilgotnej i deszczowej pory. Autobusy i ciężarówki szybko by ją rozjeździły. Tak więc na pół roku wąwóz zamknięto i do Meteorów trzeba było jechać na około albo jakimiś fortelami, bocznymi dróżkami i przeprawami na rzece. Jako że wąwóz już jest szczęśliwie zabezpieczony, podejrzewam, że nikt już nie będzie zmuszony jeździć bitymi duktami albo nadkładać drogi o ponad 100 kilometrów, jadąc trasami zastępczymi.

Z pewnością każdy, kto wjedzie do Grecji, zwróci uwagę na obfitość przydrożnych kapliczek. Na pewno też ktoś o to zapyta w autokarze czy w samochodzie. Kapliczki zazwyczaj pełnią u nas rolę przydrożnych krzyży, czyli są miejscami wypadków. Ale co ciekawe, nie tylko śmiertelnych. Znajoma, która dachowała i przeżyła, ufundowała kapliczkę, aby podziękować swojej patronce za opiekę i za to, że cało wyszła z opresji. W małych miejscowościach kapliczki się stawia na cześć kogoś zmarłego albo dziękując za uzdrowienie. Więc nie tylko wypadki tragiczne. Kapliczkę można sobie kupić w składzie budowlanym. W okolicach Aten można dostać nawet całkiem spore kaplice, wręcz małe kościoły, w których spokojnie mieści się kilka osób.

I najważniejsze, bo wycieczka zaiste skoncentrowana jest na sprawach religii i sztuki sakralnej. Częste pytanie, jakie słyszałem, to czy w Grecji jest wyznanie grekokatolickie. Odpowiedź jest krótka. Nie, nie występuje. W Grecji dominującym wyznaniem jest prawosławie, natomiast grekokatolicy to prawosławni, którzy po Unii Brzeskiej (chodzi tu o Brześć Litewski) w 1596 r., przyjęli zwierzchnictwo papieża i katolickie dogmaty, natomiast zachowali prawosławną liturgię. Jak się łatwo domyślić, grekokatolików, czyli unitów, spotkamy na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów (przez moment także i Trojga), czyli w Polsce, na Ukrainie, Białorusi czy Litwie.

Skoro w Grecji jest prawosławie, to pewnie świątynia katolicka to kościół, prawosławną to cerkiew. I znów nie. W języku greckim wszelakie kościoły czy to prawosławne, czy też katolickie, nazywane są jednym słowem *ekklisja*. Inne słowo używane w podobnym znaczeniu to *naos*. *Naos* oznacza świątynię (także świątynię antyczną). Natomiast meczet po grecku to *dzami*, z akcentem na „i”. *Dzami* z akcentem na „a” oznacza bowiem szybę. Takie

to zasadzki czyhają w języku greckim. Znaczenie słowa może się zmieniać wraz ze zmianą akcentu. Ale o języku greckim jeszcze opowiem. Teraz będzie historia chrześcijaństwa w pigułce.

Schizmy, podziały i swary, czyli dzieje chrześcijaństwa

Utarł się taki stereotyp, że są dwa Kościoły chrześcijańskie. Wschodni, czyli prawosławny, i zachodni, czyli katolicki. Prawosławnym kieruje patriarcha, natomiast katolickim, papież. A są dwa, bo w 1054 r. była wielka schizma, i kiedyś monolit, jakim było chrześcijaństwo, miał się podzielić. Później pojawili się protestanci i doszło do kolejnego podziału już w ramach tylko Kościoła zachodniego. To jednak nie jest takie proste, ani nie wygląda to tak, jak w krajach katolickich usiłuje się przedstawiać. A wystarczy troszkę poczytać, poszperać w źródłach i wszystko zaczyna się układać w konkretną i sensowną historię. Sam pamiętam, jak oglądając kiedyś transmisję pasterki z Jerozolimy, dowiedziałem się, że tam jest patriarcha. Patriarcha Jerozolimy. Czyli nie jest tak, że dwa Kościoły i dwóch przywódców, ale tych kościołów chrześcijańskich jest chyba trochę więcej. Lata żyłem w przekonaniu, że jest papież i patriarcha, a tu nagle pojawił się ten patriarcha jerozolimski i zburzył mój spokój ducha. Zacząłem więc temat badać. Wnioski dość ciekawe, trochę może zaskakujące dla tych, co znają dzieje Kościoła tylko z lekcji religii.

Chrześcijaństwo nigdy nie miało jednego przywódcy czy jednej głowy. Od samego początku istnienia organizacji, w Kościele było kilku równorzędnych przywódców, zwanych patriarchami. Najpierw trzech, w

trzech największych miastach Imperium Rzymskiego, czyli w Rzymie, Antiochii i Aleksandrii. Później doszli kolejni, czyli patriarchowie Konstantynopola i Jerozolimy, a w kolejnych wiekach, wraz z rozprzestrzenianiem się religii, patriarchowie Moskwy, Belgradu czy innych stolic. Wedle tradycji kościelnej, wszyscy patriarchowie są sobie równi i przy okazji równi rangą papieżowi, bo papież to nikt inny, ale właśnie patriarcha Rzymu. Patriarcha to najwyższy tytuł, jaki mogą mieć duchowni chrześcijańscy. Całe zaś zamieszanie z podziałami wzięło się głównie stąd, iż patriarcha Rzymu, czyli papież, usiłował sobie podporządkować innych patriarchów. Większość krajów prawosławnych ma swojego patriarchę, czyli to kościoły autokefaliczne. Konstantynopol jakoś chętniej nadawał tę zaszczytną funkcję. Natomiast papieństwo wołało podporządkować sobie kraje europejskie, tworząc w nich biskupstwa podporządkowane Rzymowi.

Patriarchowie i biskupi spotykali się co jakiś czas na soborach, by wspólnie ustalać dogmaty, zasady wiary i dyskutować o teologii. Każdy z zaangażowanych duchownych miał jakieś swoje przemyślenia, niektórzy nawet doświadczali objawień, a sobory był najlepszym miejscem, by je przedstawić i skonsultować. Dość szybko okazało się, że pewne rozbieżności są nie do pogodzenia. Prawdopodobnie wynikało to z różnic mentalnych i kulturowych dostojników kościelnych, pochodzących z różnych części świata. Dla zwyczajnego człowieka różnice dogmatyczne są niemal nieuchwytnie, tak subtelne, że nikt sobie nie zaprzęta nimi głowy, jednak dla biskupów i patriarchów tak ważne, że doprowadziły do rozłamu w Kościele już na soborze w Chalcedonie w roku 451. Tam bowiem doszło do pierwszej dużej schizmy, tzw. chalcedońskiej. O co poszło? Ano dostojnicy nie mogli się dogadać co do natury Jezusa. Debatowano nad tym, czy był jednocześnie Bogiem

i człowiekiem, czy najpierw człowiekiem potem Bogiem, czy może cały czas Bogiem. Rozważano różne warianty. To działo się już od paru wieków. Mniejsze wspólnoty, które nie zgadzały się z oficjalną nauką Kościoła i przyjmowały własne dogmaty, nazywano heretyckimi. Gorzej, gdy całe patriarchaty nie mogły się ze sobą porozumieć. Przecież patriarcha Aleksandrii ma tę samą rangę co Rzymu i Konstantynopola, który więc z nich ma rację? Kto, któremu powinien ustąpić? Problem nierozwiązywalny. To się właśnie stało na soborze w 451 r. w Chalcedonie. Doszło tam do pierwszej schizmy. Swoją własną drogę wybrały tak zwane Kościoły orientalne, czyli egipski (koptyjski), etiopski, ormiański i kilka innych. Po prostu nie uznały ustaleń soboru. I tutaj zaczęła się pokazywać bardzo niesympatyczna twarz Kościoła, zresztą wspominali już o niej cesarze Rzymu. Patriarchowie, zamiast życzyć sobie szczęścia, nawzajem się zwalczali, szukali okazji, by przekabacić wiernych albo wręcz ich zmusić do przyjęcia własnej doktryny, współpracując z władzą świecką. Niedługo po tych wydarzeniach doszło do ekspansji islamu, i wielu chrześcijan obrządków orientalnych z radością przyjęło nowe władze, gdyż wyznawcy Allaha byli bardziej tolerancyjni niż władze związane z Konstantynopolem. Co ważne, sobór chalcedoński nie spowodował sporów między Rzymem a Konstantynopolem. Dopiero w 1054 r. doszło do trwałego rozłamu między światem prawosławia a Kościołem zachodnim. Zresztą trzeba przyznać, że odbyło się to hucznie i widowiskowo. Otóż legat papieski przebywający w stolicy Bizancjum, ekskomunikował patriarchę, a ten z kolei wyklął dostojników Kościoła zachodniego. Wprawdzie zdarzały się już spory wcześniej, ale akt ekskomuniki i najazd krzyżowców na Konstantynopol w 1204 r. zbudowały mur wrogości

między największymi ośrodkami chrześcijaństwa. W XV wieku, w obliczu zagrożenia najazdami tureckimi, Konstantynopol zdecydował się podporządkować Rzymowi, licząc na pomoc militarną, ale pomocy żadnej nie otrzymał, a do tego patriarchat moskiewski uznał, że Bizancjum zdradziło i ogłosił się Trzecim Rzymem, czyli stolicą świata prawosławnego, czego zresztą rosyjska cerkiew trzyma się do dziś. Przypieczętowaniem i legitymizacją faktu, iż Moskwa stała się stolicą Kościoła wschodniego, był ślub Iwana III z bratanicą ostatniego cesarza Bizancjum, Zoe (Sofija, Sonia), przyjęcie przez Moskwę herbu jej rodu, czyli dwugłowego orła, przyjęcie przez władcę Moskwy tytułu cara, czyli cesarza, i upadek Konstantynopola zdobytego przez Turków.

Larisa - stolica Tesalii

Tymczasem na horyzoncie powinna się już pojawić Larisa, stolica Tesalii. Jadąc z północy, czyli od wąwozu Tembi, należy zjechać pierwszym zjazdem na autostradzie (zjazd Larisa 1). Zresztą pewnie każdy ma GPS, ale kto wie, czy zawsze będą GPS-y. Ponoć jeden większy wybuch na Słońcu i cała elektronika na Ziemi padnie. Na wypadek wybuchów słonecznych, burzy magnetycznej, deszczu meteorytów, który zniszczy satelity, albo jakiegoś kataklizmu na miarę zagłady dinozaurów, podam takie tradycyjne namiary, jak przez stolicę Tesalii przejechać. Samo miasto jakąś atrakcją turystyczną specjalnie nie jest, acz można w nim zauważyć parę ciekawych rzeczy, np. stacje benzynowe na parterze kamienic, w których są mieszkania; styl parkowania, który każdą straż miejską świata doprowadziłyby do zawału; praktycznie brak piwnic. Brak piwnic jest wywołany specjalnym typem konstrukcji, któ-

ry ma zapobiegać zawaleniu budynków podczas trzęsienia ziemi. Można jechać obwodnicą, ale jest to droga dalsza i wolniejsza, bo to obwodnica ze światłami i skrzyżowaniami. Przez miasto jedziemy, odbijając w prawo przy takim wielkim kościele. Po zjeździe z autostrady jest taki tylko jeden. Następnie jedziemy przez tory i za torami mamy duże skrzyżowanie, na którym skręcamy w lewo. To taka główna arteria komunikacyjna miasta. Zbudowano ją na rzece. Dokładnie w 1963 r. zabudowano płynącą tam rzekę, po to, by stworzyć jezdnię. Rzeka płynie dalej, ale pod poziomem gruntu w betonowym korycie.

Larisa to trzecie po Atenach i Salonikach miasto Grecji i zarazem jedno z najstarszych. Nazwa pochodzi mitologicznie od imienia księżniczki pelazgijskiej (Pelazgowie zasiedlali te okolice jeszcze przed Grekami), a historycznie słowo *larissa* mogło też oznaczać w języku Pelazgów „twierdzą”. Obecnie Larisa to ośrodek przetwórstwa rolno spożywczego, czyli mleczarnie, winiarnie, tłoczarnie oliwy, cukrownia itp. Zresztą widać przed miastem, że chyba więcej jest w nim salonów z traktorami i kombajnami, niż z samochodami. Mimo rozmiarów, miasto ma prowincjonalny charakter, jest spokojne i bezpieczne. Dominuje niska zabudowa, zapewne z powodu aktywności sejsmicznej. Nie raz można zobaczyć takie niedokończone budynki, co ciekawe, niedokończone jakoś tak nielogicznie. Zazwyczaj jak ktoś nie dokończy budynku to u góry, na przykład zostawiając jakieś wystające druty zbrojeniowe. To częste w Grecji. Jednak specjalnością kraju są budynki niedokończone na parterze albo na jakimś piętrze w środku. Stoi piękna kamienica, ale piękna na pierwszym piętrze, a parter w stanie surowym. Okazuje się, że często budynki są wznoszone przez współników, z których każdy dostaje swoją część i ją kończy, kiedy mu się chce. Natomiast niedokończony

dach i wystające druty to nie jak kombinowały zagraniczne media - chęć ucieczki przed podatkiem, ale po prostu opcja na przyszłość. Będzie kiedyś trzeba wybudować piętro, bo się biznes rozwinie, to się dobuduje. Często tak jest z hotelami. Są dwa piętra, ale za dziesięć czy dwadzieścia lat można dobudować trzecie albo czwarte. Jak będzie szło dobrze albo jak będą pieniądze, albo jak przyjdzie ochota. Bardzo sensowna opcja. Interes się rozwija w miarę potrzeb.

Larisa jest stolicą Tesalii - najstarszego regionu Grecji. Właśnie w Tesalii 9000 lat temu wylądowali Pelazgowie. Tutaj też znajduje się najstarsza osada, czyli Sesklo (jakieś 50 kilometrów od Larisy w kierunku Volos).

Pelazgowie - pierwsza cywilizacja Grecji

Chyba pora, aby rozwinąć temat Pelazgów, tak niewdzięcznie pomijany przez media i podręczniki. A przecież to najstarsza cywilizacja Europy!!! Cywilizacja, nie kultura. W archeologii kultura ma swoje specyficzne znaczenie. Kultura archeologiczna ma charakterystyczne narzędzia, ceramikę lub zwyczaje pogrzebowe, natomiast cywilizacja to już wyższa forma, która wiąże się ze strukturami państwowymi, bogatym systemem wierzeń, handlem i zaawansowaną produkcją.

Można się zastanawiać, dlaczego pierwsza cywilizacja Europy jest tak nieznana w Europie. Większość ludzi, którzy usłyszą o Pelazgach, zazwyczaj otwiera oczy ze zdumienia, że w ogóle ktoś taki zamieszkiwał nasz kontynent. A jak poznają rolę Pelazgów w kształtowaniu się kultury europejskiej, to jeszcze usta otwierają. No to znowu pora na zagadki.

Pierwszy zestaw zagadek:

1. Podaj stolice administracyjne trzech rzymskich prowincji.
2. Podaj nazwę miasta rzymskiego zniszczonego przez wulkan.

Które pytanie było łatwiejsze? A co ważniejsze było dla historii Rzymu: stolica prowincji czy niewielkie miasteczko zniszczone wybuchem wulkanu?

Drugi zestaw zagadek:

1. Podaj nazwę przynajmniej jednej z bitew wojny stuletniej (w końcu sto lat wojny to i bitew dużo).
2. Podaj imię angielskiego rozbójnika, który z łukiem rabował bogatych i dawał biednym.

Tu możemy zauważyć ciekawe zjawisko. Mianowicie z historii pamiętamy głównie to, co jest medialne, ciekawe i niezwykle, nie zaś to, co jest ważne. Król, któremu poddani ścięli głowę, miasto zniszczone w czasie kataklizmu, cywilizacja zniszczona przez wojnę, cesarzowa, która miała kochanków. To jest i było medialne. Natomiast wiele spraw istotnych, które nie były ani huczne, ani hałaśliwe, po prostu gdzieś tam umykają. Tak właśnie było z Pelazgami. Przybyli do Grecji 9000 lat temu. Osiedlili się, budowali miasta, osady, paśli kozy, siali zboże, lepili garnki, tańczyli w święta, składali ofiary swoim bogom, handlowali z sąsiadami, rodzili się i umierali. Nic nadzwyczajnego. Ani nie zniszczył ich cywilizacji żaden kataklizm naturalny, ani też żadna zawierucha dziejowa. Ktoś zapyta:

„To gdzie oni są teraz?”. W Grecji i we Włoszech. Wymieszani z kolejnymi grupami, zwłaszcza z Grekami właściwymi. Gdy 4000 lat temu na tereny dzisiejszej Grecji przybyli Grecy, dodam Grecy indoeuropejscy, jak podaje tradycja, podzieleni na plemiona Achajów, Jonów, Dorów i Eolów, to ani nie wygnali Pelazgów, ani ich nie podpo-

rządzali sobie, tylko zajęli niezamieszkałe tereny obok nich. Starożytne źródła greckie dość obficie nas informują o Pelazgach. Można o nich przeczytać u Homera, Herodota, Tukidydesa, jak również w źródłach rzymskich, a coraz to nowsze odkrycia archeologiczne tylko wzbogacają naszą wiedzę, a czasem pozwalają poznać to, o czym nie wiedzieli nawet starożytni. Teraz zbiorę to, co wiemy o Pelazgach na podstawie badań i przekazów historycznych.

Pelazgowie wywodzili się z terenów dzisiejszego pogranicza turecko - syryjskiego. Umie li żeglować. Okolica, z jakiej pochodzili, to fragment tzw. Żyźnego Półksiężycy, w skład którego wchodziła także Mezopotamia, czyli kolebka cywilizacji śródziemnomorskiej. Żyźny Półksiężyc to jeden z najgęściej zaludnionych obszarów Ziemi 10 000 lat temu, czyli w początkach cywilizacji, budownictwa miast i rolnictwa. Jak się łatwo domyślić, gdy warunki są dobre, ludzi przybywa. A jak ludzi przybywa, to wkrótce zaczyna brakować ziemi uprawnej dla wszystkich, więc część musi sobie poszukać lepszego miejsca do życia. Powodem migracji może być też susza. Z jakiegoś powodu więc, część Pelazgów wsiadła na okręty i zaczęła kolonizować wyspy Morza Egejskiego i samą Tesalię. Nowi mieszkańcy przybyli, wpływając do Zatoki Pagasitikos i wylądowali w okolicach dzisiejszego miasta Volos. Najstarsza ich osada, Sesklo, stała się centrum ich trwającej tysiące lat ekspansji na terenach dzisiejszej Grecji. Poza wspomnianą Larisą, Pelazgowie założyli Trikałę, Ateny, Tyryns, Korynt, ponadto mnóstwo większych i mniejszych osad. Archeolodzy uważają, że w okresie neolitu (czyli w epoce kamienia, bo brąz się pojawił 5000 lat temu), w Tesalii było więcej osad niż obecnie miast i wiosek. Pelazgowie prowadzili wymianę handlową z równolegle rozwijającą się cywilizacją Krety i krajami Bliskiego Wschodu oraz Azji Mniejszej (Azja

Mniejsza to po prostu tereny dzisiejszej Turcji). Zostawili po sobie stosunkowo mało zabytków architektonicznych, gdyż budowali wciąż w tych samych miejscach. Dla archeologa najlepiej jak miasto jest zniszczone przez wulkan (jak Pompeje), za to, gdy ludzie mieszkają w jednym miejscu przez kilka tysięcy lat, sami zacierają ślady po swoich przodkach i niewiele można znaleźć pamiątek przeszłości. Zwłaszcza gdy wznosili domostwa z suszonej na słońcu cegły (co zdarza się w Grecji po dzień dzisiejszy). Dużo bardziej znana jest równoległa cywilizacja kretańska. Po pierwsze dlatego, że została zniszczona przez kataklizm, po drugie, do budowy używano głównie kamienia. Pelazgowie bardziej się utrwaliли w kulturze. Przetrwali przez nazwy geograficzne używane w Grecji po dzień dzisiejszy i przez swój udział w wojnie trojańskiej, walcząc po stronie króla Priama, czyli Trojan. Mitologia grecka opiera się w dużej mierze na wierzeniach Pelazgów, a w ogóle mit o stworzeniu świata jest mitem pelazgijskim. Greckie słowo *thalassa* oznaczające „morze” pochodzi z języka pelazgijskiego, podobnie jak słowo *absinth*, kojarzące się nam z ulubionym trunkiem francuskich artystów.

W zasadzie to świat Pelazgów odkrywamy dopiero teraz, mimo iż ich współcześni doskonale sobie zdawali sprawę z faktu ich istnienia i z różnicy między nimi a Grekami. Wieki, a nawet tysiąclecia, sąsiedztwa doprowadziły do wymieszania się Greków z Pelazgami oraz do poczucia przynależności do jednej kultury i jednego ludu. I mimo że Ateńczyków jeszcze w czasach klasycznych nazywano czasem Pelazgami, czuli się oni jednak częścią wspólnoty greckiej, podobnie jak Spartanie, Tebańczycy czy mieszkańcy Wysp Egejskich. Najprościej mówiąc, Grecy właściwi po prostu zmieszali się z Pelazgami. Zresztą Grecy starożytni nie nazywali siebie Grekami, tylko Ateńczykami, Spartanami, Tesalczykami albo

Macedończykami. Nazwa Grecy to prezent od Rzymian. Obecnie Grecy nazywają siebie Elines. Czasem w europejskiej literaturze są nazywani Hellenami. Myślę, że sprawa Pelazgów na ziemiach greckich została wyjaśniona. Jest jeszcze, a raczej był, drugi ośrodek cywilizacji pelazgijskiej w Europie. Jego początki sięgają 3000 lat w przeszłość. Wtedy to doszło do jednego z największych kataklizmów cywilizacyjnych zwanych „apokalipsą egejską”. Bardziej to rozwinę przy okazji Argolidy na Peloponezie. W kontekście naszego tematu istotne jest to, że wtedy to właśnie Pelazgowie, zamieszkujący niezmiennie swoją kolebkę (czyli pogranicze syryjsko - tureckie), wówczas zapakowali się na statki i wyemigrowali do Italii. Tam mieszała się z lokalną ludnością i stworzyli nację zwaną Etruskami lub Tyrrenami. Od nich pochodzi nazwa jednego z mórz otaczających Italię, czyli Morza Tyrreńskiego. Jakie na to są dowody? Po pierwsze nikt na razie nie ma lepszego pomysłu na pochodzenie Etrusków, a po drugie, francuscy archeolodzy odkryli na greckiej wyspie Lemnos starożytną stelę wmurowaną w ścianę kościoła. Na owej steli był tekst zapisany pismem greckim, ale w języku podobnym do etruskiego. Na przykład były użyte charakterystyczne etruskie przypadki i formuła pozdrowienia. Grecy historycy podają, że Lemnos to była ostatnia wyspa, na której używano jeszcze do VI w. p. n. e. języka pelazgijskiego. Co ciekawe, badania genetyczne informują, że Etruskowie, podobnie jak Pelazgowie, nie byli ludnością indoeuropejską, tak jak Rzymianie czy inne ludy ówczesnej Italii, a jeszcze co ciekawsze, ich zwierzęta hodowlane, głównie krowy, wywodziły się z Azji.

Etruskowie byli dla Rzymu kulturą wzorcową. Zresztą pierwsza dynastia panująca w Rzymie, Tarkwiniusz, to ród etruski. Miasta Etrusków były dla Rzymian jak

metropolia dla prowincji. To od Etrusków Rzymianie zaczęli organizację państwa, część wierzeń czy obyczaje, takie jak walki gladiatorów. Nie jest prawdą popularny slogan, że Rzymianie Etrusków podbili. Otóż po najeździe Celtów (Gallów), państwa - miasta Etrusków upadały, więc dla przetrwania oraz bezpieczeństwa weszły w sojusz z Rzymem, stając się lojalnym partnerem, który nawet w czasie wojny Rzymu ze sprzymierzeńcami nie stanął przeciwko przyszłej stolicy Imperium. Z czasem Etruskowie się latynizowali, ich język odchodził w niepamięć. Ale od pewnego czasu jest moda na szukanie korzeni w tym starożytnym narodzie. Etruskowie nie zaginęli, nie zniknęli, nie zostali podbici, tylko tak zwyczajnie przyjęli język swoich sąsiadów, podobnie jak to było w przypadku Pelazgów. Jeszcze raz chciałem podkreślić, iż kultura etruska miała chyba ważniejszy niż grecka wpływ na kształtowanie się Rzymu. Jeśli badania to potwierdzą, okazać się może, że nasza europejska cywilizacja bierze swój początek właśnie od Pelazgów. Bo nasza kultura opiera się na dwóch filarach, greckim i rzymskim. Grecka kultura, jak już wiadomo, oparta jest na starszej kulturze pelazgijskiej, a rzymska na etruskiej, czyli pośrednio również pelazgijskiej. Głębsze rozważania na temat Etrusków i ich wpływu na kulturę Rzymu pozostawię jednak komuś, kto będzie pisał przewodnik po Włoszech, bo jeszcze parę tematów do omówienia przed Meteorami.

Dla oddechu i rozluźnienia umysłu opowiem o rolnictwie. W końcu Tesalia to jedno wielkie pole uprawne. Dominują tu dwie uprawy: zboża na wiosnę i bawełna jesienią. Gdziekolwiek widać sady owocowe, za to kompletnie nie udają się warzywa bulwiaste, za wyjątkiem ziemniaków. Grecka pietruszka nie ma praktycznie w ogóle korzenia, a jak ma to taki słabiutki i lichutki, aż szkoda go do zupy wrzucać. Tak, warzywa

bulwiaste lubią wilgotną glebę, a wilgoć to nie najmocniejsza strona Grecji. Uprawy trzeba nieustannie nawadniać. Lata, w których przez miesiąc czy dwa nie spadła kropla deszczu, wcale nie należą w Grecji do rzadkości. Bez nawadniania rolnictwo w większości Grecji by praktycznie nie istniało. Tylko skąd woda? Niby wije się przez Tesalię rzeka Pinios, ta sama, którą przekraczaliśmy, idąc do sanktuarium Agia Paraskevi, ale latem lubi w górnym swoim odcinku wysychać, jest to rzeka częściowo okresowa. Poza tym, gdyby wszyscy chcieli nawadniać swoje uprawy, korzystając z wód Piniosu, prawdopodobnie wypompowaliby z niego całą wodę jeszcze przed Larisą. Grecja ma jednak kolejny sekret w zanadru. Wyobraźcie sobie, że ta sucha, wypalona słońcem i skalista Grecja ma sześć razy więcej zasobów wody pitnej niż poprzecinana rzekami Polska. Jak to możliwe? Woda jest nie tylko na powierzchni, ale także pod ziemią. Grecja ma olbrzymie zasoby wód głębinowych. 97% wody na świecie znajduje się w morzach i oceanach, tylko 3% to woda słodka. Z kolei tej słodkiej wody na powierzchni, czyli w rzekach i jeziorach, mamy 1% , a więc 0,001% całej wody na Ziemi. 77% jest w lodowcach, a 22% to wody gruntowe. Zatem pod ziemią mamy 22 razy więcej słodkiej wody niż na powierzchni. Grecja tu miała dużo szczęścia, bo wód głębinowych sporo, a na tyle jest płytko, że jej eksploatacja się opłaca. Zasoby wód głębinowych nie są odnawialne, ale tej w Grecji może starczyć na wieki. Gdy rozejrzemy się po tesalijskich polach, co jakiś czas zobaczymy małe budynki z pustaków wielkości kiosku. To właśnie studnie głębinowe. Czasem służą jako powierzchnia reklamowa. Wystarczy trochę wapna, by pobielić, potem niebieska czy czerwona farba i reklama sklepu czy jakiegoś produktu gotowa.

Całkiem ciekawie wyglądają też farmy ze zwierzęta-

mi. Trochę jak jakieś obozy dla uchodźców. Trochę blachy, kawałek dykty, stara paleta, trochę sznurka i już ogrodzenie gotowe. Grecy są mistrzami w używaniu wszystkiego, co nadaje się do wyrzucenia. To nawet nadaje wioskom specyficzny koloryt. Nierzadko za donicę służy stara puszka po serze albo ubity dzbanek. Niektórzy mówią, że to dziadostwo. Tak naprawdę to pamiątka po czasach wielkiej biedy, jaka panowała kiedyś w Grecji. Na wyspie Skiathos przejmujące wrażenie robi drewniana furтка zbita z kilkunastu mniejszych deseczek. To także chyba taka ludowa mentalność. Wychowałem się na polskiej wsi i pamiętam, że na strychu był gąsior do wina z ubitą szyjką. Po co to trzymali, na co, trudno pojąć, niemniej trzymali, bo „może się przydać”. Kiedyś widziałem program o słowiańskiej pomysłowości, w którym jej wielbiciel pokazywał, jak można ze starych gumiaków zrobić zawiasy do drzwi. Chwalił nawet, że lepsze niż metalowe, bo nie skrzypią. Taki rodzaj pomysłowości ma w Grecji swoją specjalną nazwę *patenta*. *Patenta* to skrzyżowanie prowicki z wynalazczością. Podam takie dwa przykłady, jeden nawet dotyczył mojego samochodu.

Pewnego razu turystom mieszkającym w apartamentach w Kokkino Nero wypadła klamka. Jako że mieszkali na parterze, wezwany gospodarz poradził, aby nie zamykali okna, by mogli sobie przez nie wchodzić, a wychodzić mogli drzwiami, bo od wewnątrz klamka była. Zresztą wystarczyło, by weszła jedna osoba oknem, by potem otworzyć innym. Turystom jednak to rozwiązanie się specjalnie nie spodobało, więc poprosili o klamkę. Właściciel apartamentów, Petros, podrapał się po głowie i powiedział, by poszli na plażę, a on w tym czasie coś poradzi. Klamki rezerwowej nie miał, do miasta daleko, a coś zrobić trzeba. Rozebrał więc zamek, zbadał jego zasadę działania i dość szybko poradził sobie, stosując *patentę*. Gdy turyści wrócili z plaży, mogli już drzwi otworzyć z z-

wewnątrz. I to bez klamki. W miejscu, gdzie powinna być klamka, wystawał sznurek jak od snopowiązałki. Wystarczyło pociągnąć i zamek się otwierał. Ludzie przychodzili zdjęcia robić, bo takiego cuda to nie widzieli.

Moje spotkanie z *patentą* było związane z samochodem, a konkretnie ze zmianą skrzyni automatycznej na ręczną. W zasadzie w kokpicie samochodu jedynymi przejawami automatycznej skrzyni biegów jest brak sprzęgła i inny drążek do zmiany biegów. Z pedałami sobie warsztat poradził. Były trzy, tak jak się należało. Drążek do zmiany biegów też był, tyle że taki jakiś goły wystawał z ciemnej dziury. Ani to obudowane, ani nie widać, jakie gdzie są biegi, jakbym komuś chciał auto pożyczyć. Brakowało takiej płytki, na której są cyferki z biegami, i która zasłania ziejącą koło fotela dziurę. Powiedziałem, że nie odbieram samochodu w takim stanie, że mają coś tam dać, nie będę jeździł jak jakiś dziad. Jeszcze coś wpadnie do tej dziury. Szef warsztatu był trochę zawiedziony moimi roszczeniami, ale powiedział, że coś poradzi. Naza jutrz dzwoni do mnie, radośnie obwieszczając, że problem rozwiązany. Jest panelik. W warsztacie, rozpromieniony nie mógł się nachwalić majstra - Złotej Rączki, który opracował specjalną dla mnie *patentę*. Wsiadłem do auta i pomyślałem, że śnię. Pan Złota Rączka gdzieś znalazł zeszyt z czarną plastikową okładką. Pieczołowicie wyciął w nim kwadracik, w tym kwadraciku podłużne otwory, tak by drążek skrzyni biegów swobodnie się przesuwiał, a do tego białym niezmywalnym markerem napisał, gdzie, jaki ma być bieg. Naprawdę to kosztowało wiele pracy, doceniam to, ale wyglądało... Tragicznie! Wiedziałem, że więcej nic nie wskóram, zabrałem samochód i pojechałem z wesołego warsztatu, gdzie na każdy problem czy brak części zaraz ktoś wymyśli jakąś *patentę*.

Chrześcijaństwo w Grecji i Rzymie

Chrześcijaństwo pojawiło się w Grecji bardzo wcześnie. Przecież w I w. n. e. kraj należał do Imperium Rzymskiego, które było głównym terenem działań apostołów. Trud ewangelizacji prastarej krainy bogów i herosów wziął na siebie nie byle kto, bo sam św. Paweł Apostoł, chyba najbardziej malowniczy z tego szacownego grona (może poza Judaszem, który dość niechlubnie się w dziejach zapisał). Za to jego dzieje były na pewno bardziej burzliwe i zmienne. Paweł początkowo zwalczał chrześcijan, podobnie zresztą jak większość Żydów. Nie ma co ukrywać, że dla wyznawców religii mojżeszowej nowy ruch był wielkim zagrożeniem, mogącym nawet doprowadzić do rozpadu narodu. Wprawdzie w dziejach narodu żydowskiego nie raz (i wcześniej, i później) pojawiali się mesjasze, jednak nigdy nie zdobywali tak wielkiej popularności jak Jezus. Nigdy ich działania nie obejmowały terenów całego basenu Morza Śródziemnego ani też nigdy nie przyciągały ludzi spoza narodu żydowskiego, tak jak chrześcijanie. Początkowo uczniowie i później wyznawcy Jezusa byli ruchem religijnym w ramach religii i narodu żydowskiego, by z dniem dzisiejszym stać się religią liczącą najwięcej wyznawców na świecie. Paweł, który z początku prześladował chrześcijan, przeżył objawienie w czasie swojej podróży do Damaszku, po czym dołączył do apostołów i szybko stał się najgorliwszym z nich. Nazywano go „żarliwym”, bo mocno się angażował w swoje działania. Tak jak początkowo, wręcz z pasją, prześladował wyznawców Jezusa, to po objawieniu stał się gorącym krzewicielem nowej religii. Dla nas istotny jest fakt, że to właśnie on zajął się szerzeniem chrześcijaństwa w Grecji. Trasa, jaką wybrał Apostoł, była inna niż zwy-

czajowe turystyczne, bo przybył z terenów dzisiejszej Turcji, czyli przez Samotrakę. Pierwszym miastem, w jakim się zatrzymał, to obecne Filippi.

Filippi, jak łatwo się domyślić, nosi swoją nazwę na cześć ojca Aleksandra Wielkiego, czyli Filipa II. W okresie, gdy należało do Macedonii, było znane z kopalń złota. Z kolei zniszczone i odbudowane przez Rzymian stało się jednym z ważniejszych punktów w historii Imperium. Zresztą Grecja ma więcej takich punktów ważnych dla Rzymu. Są to na przykład Farsalos, gdzie Cezar pokonał Pompejusza, Akcjum, gdzie Oktawian August podbił flotę Antoniusza i Kleopatry, czy też Kynoskefalaj, gdzie legionieści roznieśli potężną armię Mitrydatesa, który wygnał Rzymian z Azji Mniejszej i właśnie usuwał ich z Bałkanów. Natomiast pod Filippi w 42 r. p. n. e. rozstrzygnęły się losy Rzymu. Po jednej stronie stanęła armia zabójców Cezara (czyli Brutusa i Kasjusza), a naprzeciw niej armia jego przyjaciela, czyli Antoniusza i jego przybranego syna, czyli Oktawiana Augusta. Armia zabójców Cezara broniła ustroju republikańskiego, druga monarchii, jaką powoli zaczął wprowadzać Cezar. Zwolennicy cesarstwa wygrali, ale wkrótce sami stanęli naprzeciw siebie. Antoniusz był bowiem tak dobrym przyjacielem Cezara, że po jego śmierci zaopiekował się jego byłą kochanką, czyli Kleopatram, słynną królową Egiptu. Zamieszkał z nią, a przez lekceważenie spraw rzymskich, pozwolił Oktawianowi urosnąć w siłę. I tak to pod wspomnianym Akcjum, w okolicach dzisiejszego miasta Preweza, w bitwie morskiej rozpoczął się ciąg zdarzeń, który doprowadził do śmierci Antoniusza i Kleopatry, a zarazem wyniósł Oktawiana Augusta na cesarski tron. Oktawian August to formalnie pierwszy cesarz Rzymu.

Pobył Pawła w Filippi był dość huczny. Apostoł nie tylko nauczał, opowiadał o Jezusie i gromadził uczniów,

ale także jego obecności zaczęły towarzyszyć wydarzenia, które doprowadziły lokalne władze rzymskie do palpacji serca. Na przykład dokonał egzorcyzmów nad obłąkaną kobietą i wypędził z niej złego ducha. Dziś powiemy, że super. Ale owa kobieta była czyjąś niewolnicą, a jej właściciel pobierał całkiem miłe opłaty za jej wróżby. W starożytności uważano, że osoba obłąkana ma kontakt z bogami. Nie tylko zresztą w starożytnej Europie. Indianie po dzień dzisiejszy mają takie przekonanie. Na skutek uzdrowienia, właściciel niewolnicy stracił źródło dochodów i mówiąc dzisiejszym językiem, podał Pawła do sądu. Paweł wraz z towarzystwem został uwięziony, a tam znów kolejne cuda. Niewielkie trzęsienie ziemi, mur więzienia runął i Apostoł znów był na wolności. Tego rajcom Filippi było aż nadto, nie chcieli innych cudów ani mocnych wrażeń. Poprosili więc Pawła, aby łaskawie opuścił ich miasto i sobie poszedł gdzie indziej nawracać, wypędzać demony i wywoływać trzęsienia ziemi, które niszczą budynki publiczne.

Od Filippi do Salonik niedaleko, a miasto ważne, tranzytowe, na trasie z Rzymu do wschodnich prowincji, więc Apostoł postanowił w nim zagościć na dłużej. Tutaj pora, by powiedzieć o pewnej specyfice pracy apostołskiej Pawła.

Apostołowie tradycyjnie nauczali w synagogach i kierowali swoją naukę do ludności żydowskiej, wychodząc z założenia, że to oni właśnie czekali na Mesjasza, a ofiara Jezusa to sprawa wewnętrzna narodu żydowskiego. Bo w sumie co tam mogło to obchodzić Germanów czczących święte dęby czy Rzymian oddających cześć Jowiszowi. Jednak Paweł, który w tradycji kościelnej ma przydomek Apostoła Pogan, wyszedł poza ten schemat, stwierdzając, że chrześcijaństwo jest dla wszystkich, nie-

zależnie od ich statusu społecznego czy narodowości. Jakopierwszy zaczął nauczać na agorach, czyli miejscach życia towarzyskiego i handlowego miast greckich. Paweł napisał też list do Piotra, zalecając i jemu nauczanie wszystkich. Tak rozpocznie się prawdziwa ekspansja chrześcijaństwa. Nasz Apostoł odwiedzał kolejne miasta Grecji. Poza Salonikami odwiedził Verię, Ateny i na dłużej zatrzymał się w Koryncie. Kto uważnie słucha podczas mszy, na pewno kojarzy *Listy Apostolskie: do Filipian, do Tesaloniczan* czy *do Koryntian*. Jak jesteśmy przy Tesaloniczanach, od razu rozwikłam zagadkę nazwy drugiego miasta Grecji, czyli Salonik. Po grecku nazwa brzmi Thesaloniki, po polsku Saloniki, po serbsku czy bułgarsku Sołuń. Po prostu nazwy geograficzne brzmią różnie w różnych językach. Ostatecznie św. Paweł został aresztowany, przewieziony do Rzymu, sądzony przez cesarza i uniewinniony. Tutaj pomogło jego wysokie pochodzenie i fakt, że przez to miał obywatelstwo rzymskie oraz prawo do odwołania się do sądu cesarskiego. Jednak zginął prawdopodobnie w czasie prześladowań rozpętanych przez cesarza Nerona. Czas powiedzieć, jak wyglądały relacje między chrześcijanami a władzami Rzymu.

Zatem nie da się ukryć, że prześladowania były, acz stanowiły one takie epizody we wzajemnych relacjach i bardziej wiązały się z nierozumieniem istoty nowej religii przez politeistycznych Rzymian niż z jakąś zaplanowaną wrogością. Niechlubnie tu się wyróżnił jeden z lepszych cesarzy Imperium, czyli Dioklecjan, który w nowej religii widział zagrożenie dla spójności państwa. Jednak nawet za jego panowania, prześladowania były ograniczone do części Cesarstwa. Władze rzymskie raczej uprzykrzały życie, na przykład nie pozwalając się spotykać czy budować sobie świątyń.

Tak czy inaczej, najgłośniejsze prześladowania, roz-

sławione przez polskiego noblistę w powieści *Quo Vadis*, miały miejsce za panowania Nerona (tu zwrócę uwagę, iż pisarz dostał ową szacowną nagrodę nie za *Quo Vadis*, jak się przyjęło uważać, ale za całokształt twórczości). Cała sprawa wyglądała tak: Neron pochodził ze znakomitego rodu rzymskiego, spokrewnionego z pierwszym cesarzem, Oktawianem Augustem. Gdy umarł ojciec, życie jego i matki zawisło na włosku. Majątek został skonfiskowany, a matka wygnana. Jednak fortuna kołem się toczy, ambitna matka poślubiła cesarza Klaudiusza, otruła go i doprowadziła do koronacji swojego syna, czyli właśnie Nerona.

Pierwsze lata panowania w Rzymie to okres wielkiej radości, gdyż młody cesarz odwołał stare procesy, lubił pobawić się, a sprawy państwowe oddał w ręce matki i swojego wychowawcy, Seneki. Coś jednak popsuło tę sielankę. Neron albo ciężko zachorował, albo doświadczył jakiegoś urazu. Gdy wrócił do zdrowia, był już innym człowiekiem. Z radosnego młodzieńca, ulubieńca stolicy, stał się krwawym tyranem jak, nie przymierzając, wielu jego poprzedników. Jak na tyrana przystało, rozpoczął serię sfingowanych procesów, kazał zamordować swoją matkę, swojego nauczyciela, czyli Senekę, prześladował senatorów i patrycjuszy. Sprawiedliwość trzeba jednak oddać i przyznać, że w polityce międzynarodowej był dobry i rzadko kiedy później Imperium doświadczało takiego spokoju i porządku jak za jego panowania. Lubował się też w aktorstwie i poezji. Jaki w tym był, tak naprawdę nie wiadomo. Narobił sobie wrogów wśród patrycjuszy i chrześcijan, a ci właśnie pozostawili po sobie relacje z czasów jego panowania. Relacje, które widzą w Neronie tylko ciemne strony i same wady. Trzeba przyznać, że i czasy były brutalne, a kultura Rzymian przesiąknięta zbrodnią i okrucieństwem.

Pewnego pięknego dnia Cesarz przebywał akurat

na wakacjach w dzisiejszym Anzio, czyli takim nadmorskim kurorcie rzymskich patrycjuszów. Pogoda, ładne dziewczyny, piękne, ciepłe morze w sam raz do kąpiel, aż tu wczesnym rankiem posłańcy ze stolicy przynieśli straszne wieści. Rzym płonął!!! Neron czym prędzej ruszył do miasta, by oszacować zniszczenia i coś zadziałać. Otworzył ogrody pałacowe dla pogorzalców, zorganizował pomoc i zaopatrzenie w żywność. Później odbudował wszystkie domy z pieniędzy uzyskanych z prowincji. Dość szybko jednak do jego otoczenia doszły informacje o plotkach powtarzanych przez ludność stolicy. Wiść gminna niosła, że to właśnie cesarz kazał podpalić stolicę. Czy to dlatego, by odbudować ją na nowo piękniejszą, czy też, żeby sobie przy olbrzymim pożarze komponować bądź śpiewać... Wersje były różne, w każdym razie miasto groziła rewolucja. Szybko zebrana rada ustaliła, że trzeba znaleźć sprawców, a jak się nie da, to trzeba kogoś w to zrobić. Traf chciał, że ktoś z otoczenia Nerona miał zatarg z chrześcijanami. Cesarz chyba nawet niespecjalnie wiedział, kim są wyznawcy Jezusa, lecz ktoś go na tyle skutecznie przekonał, że zdecydował właśnie ich złożyć w ofierze żadnemu zemsty tłumowi. Tak rozpoczęły się najbardziej znane prześladowania, w czasie których śmierć mieli ponieść także św. Paweł i św. Piotr. Piotr ukrzyżowany, zaś Pawełu znów pomogło obywatelstwo rzymskie - święty mieczem.

Neron tylko o 4 lata przeżył swoje ofiary, bowiem w 64 r. n. e. legiony hiszpańskie obwołały cesarzem Galbę, a zbrodniczy cesarz, opuszczony przez wszystkich i ścigany przez wrogów, popełnił samobójstwo, rzucając się na sztylet.

Widać tu, że początki chrześcijan nie były łatwe. Musieli się ukrywać, nieustannie oskarżani o podburzanie do buntu, jak również o łamanie prawa. W końcu, zgodnie z nakazami wiary, nie mogli oddawać czci boskiej

cesarzowi, a to w końcu było podstawą autorytetu władcy. Takie zwyczajowe prześladowania polegały zatem na zmuszaniu chrześcijan do składania ofiar dawnym bogom i cesarzom, a karą za nieposłuszeństwo było zazwyczaj więzienie albo parę kijów. Z czasem prześladowania cichły, gubernatorzy prowincji niekoniecznie słuchali zaleceń stolicy, i tak na przykład o ile Dioklecjan ścigał wyznawców Jezusa z zapalem godnym Nerona, to już gubernator Brytanii, notabene ojciec Konstantyna Wielkiego, pozwalał im swobodnie się spotykać.

Reasumując, prześladowania trwały przez 250 lat, mniej więcej do 300 r. n. e., czyli do abdykacji Dioklecjana. Wkrótce na arenie dziejów pojawił nam się Konstantyn zwany Wielkim, który to Edyktem mediolańskim zagwarantował chrześcijanom swobodę wyznania, dołączył nową religię do wyznań uznanych w Cesarstwie zaś oficjalne kultury, a co najważniejsze, kazał się ochrzcić na łożu śmierci. Zgodnie z tradycją kościelną, chrzest nie tylko oczyszcza z grzechu pierwotnego, ale także ze wszystkich dotychczasowych. Konstantyn miał się z czego oczyszczać, bo, pomijając egzekucje wrogów i eksterminację całych miast, miał na koncie takie dokonania jak niesłuszne skazanie na śmierć własnego syna. Niesłuszne, bo było ono efektem intrygi ówczesnej żony Konstantyna, która twierdziła, że jego syn, mówiąc dosadnie, usiłuje się do niej dobrać. Gdy prawda wyszła na jaw, cesarz srodcie się zemścił na małżonce, skazując ją na pełną cierpienia śmierć, wymazanie jej imienia z dokumentów i zniszczenie pomników.

Konstantynowi przypisuje się wprowadzenie krzyża jako symbolu chrześcijaństwa. Ponoć przed bitwą o Rzym (Konstantyn stał się cesarzem, tocząc kilka wojen z konkurentami i współpanującymi) zobaczył na niebie krzyż i usłyszał głos: „Z tym znakiem zwyciężysz”. Kazał więc

wyryć swoim legionistom symbol krzyża na tarczach i wkrótce pokonał ponad dwukrotnie liczniejszą armię Maksencjusza. Była to bitwa przy moście Mulwijskim.

Stopniowo chrześcijaństwo uzyskiwało coraz większe wpływy, znajdowało się coraz bliżej państwa. Wprawdzie cesarz Julian, zwany Apostatą, chciał zmniejszyć rolę nowej religii, ale było już na to za późno. Kult Jezusa zataczał coraz szersze kręgi. Z religii początkowo przyciągającej niewolników i intelektualistów, chrześcijaństwo stało się głównym wyznaniem Cesarstwa. Sprawę starych, pogańskich wyznań uporządkował Justynian I, zwany Wielkim, który to w roku 529, pod karą konfiskaty mienia, kazał się ochrzcić wszystkim, którzy do tej pory tego nie uczynili, zaś praktykowanie pogańskich kultów groziło karą śmierci. Co było później, to już wiemy z poprzednich rozdziałów.

Trikala, czyli prawie Meteory

Do Meteorów powinno już być blisko, na pewno na znakach coraz częściej jest Trikala, więc czas na słowo o podziale administracyjnym Grecji.

Kraj dzieli się na 13 peryferii, czyli województw. Kiedyś każde z nich miało kilka nomosów, czyli powiatów, te z kolei dzieliły się na gminy. Obecnie nomosów, czyli powiatów, już nie ma. Są województwa i gminy. W przeszłości województwo czy peryferia Tesalii dzieliły się na cztery powiaty, czyli nomosy. Były to: Larissas, czyli stołeczny (tam gdzie jest wybrzeże znane z Kokkino Nero czy Stomio), kolejny to nomos Volos (tam gdzie największy port Tesalii, przy zatoce, którą wpłynęli Pelazgowie), nieznanym specjalnie turystom nomos Karditsa (czyli pola

uprawne po horyzont i brak atrakcji dla zwiedzających) i wreszcie nomos Trikala (w którym znajdują się Meteory, a dokładniej miejscowość u ich stóp, czyli Kalambaka, inaczej Kalampaka). Trikałę się mija bokiem, przez chwilę widać starą twierdzę na horyzoncie i duży kościół z różowego kamienia, mający formę wydłużonego kościoła bizantyńskiego, czyli kopułowego. Przewodnicy zwykli mówić, że nazwa Trikala, którą można przetłumaczyć jako „trzy dobre”, bierze się stąd, iż miasto słynęło z pięknych kobiet, dobrych koni i dobrych win. Jak ktoś lubi ten typ urody, to panie w całej Grecji mu się spodobają (mu lub jej, bo teraz czasy nowoczesne i jakby większa otwartość). Co do koni, starożytna Tesalia już od epoki brązu słynęła z najlepszych wierzchowców. Zresztą do czasu pojawienia się w Grecji Macedończyków, znających zarówno perską, jak i scytyjską technikę walki konnej, kawaleria tesalijska była uznawana za najlepszą. Głównie dlatego, że po prostu była... Tesalia, podobnie jak Macedonia, jest regionem równinnym, więc konie miały i gdzie się paść, i gdzie się wyhasać, co nie było możliwe na górzystym Peloponezie. Sama Trikala, dziś senne, prowincjonalne miasteczko, skąd mieszkańcy w latach 60. niemal masowo emigrowali za pracą do Niemiec. Jednak, jak każde greckie miasteczko, ma swój wielki moment w historii i swojego bohatera. Historię zacznę zwyczajowo podstępłą zagadką.

Jeśli kiedyś byliście w aptece, czy zwróciliście uwagę na piktogram bądź symbol przedstawiający węża oplatającego kielich? Co to za wąż i skąd się wziął? Bo, jak wiadomo, w aptekach nie sprzedają węży a lekarstwa (są kraje, takie jak Chiny, gdzie w aptece można dostać i węża). Ten wąż to wąż Eskulapa, stwór występujący w południowej Europie, a nawet w południowej Polsce, i (uwaga!) jest dusicielem. Mimo długości dochodzącej do

2 metrów, ów dusiciel nie stanowi zagrożenia dla rodzaju ludzkiego, bo w zapale bojowym jest w stanie zadusić jedynie mysz, jaszczurkę albo żabę. Nas bardziej zainteresuje, skąd stworzenie bierze swoją nazwę, czyli osoba Eskulapa. Eskulap to po grecku Asklepios, pochodzący z Trikali ojciec greckiej medycyny i wynalazca szpitala. Dziś wydaje nam się, że szpital to coś oczywistego, że zawsze szpitale były. Tak, były, ale właśnie dzięki Asklepiosowi z Trikali. To on jako pierwszy zbudował coś, co nazwano asklepijonem, czyli po prostu szpitalem.

Tajemnicze ikony

Jest jeszcze jedna istotna sprawa do zgłębienia przed wizytą w klasztorach, a mianowicie ikony, czyli obrazy. W języku greckim słowo *ikona* oznacza „obraz religijny”, w odróżnieniu od słowa *pinakas*, które to oznacza „obraz świecki”. Ikona to poniekąd wizytówka prawosławia, gdzie kult obrazów jest dużo bardziej rozpowszechniony niż w świecie katolickim, a kompletnie nie istnieje w niektórych odłamach Kościoła protestanckiego. Obrazy nie pojawiły się od razu, a z ich początkiem wiąże się pewna sprawa, o której bardzo nie lubią rozmawiać duchowni. Prawdopodobnie dlatego, że nie bardzo wiedzą, co mają odpowiedzieć. Otóż w początkach chrześcijaństwa malowanie obrazów przedstawiających Jezusa bądź świętych było zakazane. Jest to związane z żydowskimi korzeniami religii, a dokładniej mówiąc, z Dekalogiem, którego drugie przykazanie w oryginalnej wersji brzmi tak:

Nie uczynisz sobie obrazu rytego ani żadnej podobizny tego, co jest na niebie w górze i co na ziemi nisko, ani z tych rzeczy, które są w wodach pod ziemią. Nie będziesz

się im kłaniał ani służył. Ja jestem Pan, Bóg Twój, mocny, zawistny, karzący nieprawość ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia tych, którzy mnie nienawidzą, a czyniący miłosierdzie tysiącom tych, którzy mnie miłują i strzegą moich przykazań.

Jasno więc widać, że Dekalog zabraniał malowania, rysowania czy rzeźbienia nie tylko postaci boskich czy świętych, ale nawet zwierząt. Takie to przykazania odebrał Mojżesz. Z jakichś powodów drugie przykazanie usunięto, ale żeby się zgadzała liczba - w końcu słowo *dekalog* to z greckiego „dziesięć praw” - ostatnie przykazanie podzielono na dwa. Kiedyś przykazanie dziesiąte brzmiało tak:

Nie będziesz poządał domu bliźniego twego, ani nie będziesz pragnął żony jego, ani sługi jego, ani służebnicy, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest.

Ale skoro usunięto drugie przykazanie, a dziesiąte podzielono na dwa, wszystko się niby zgadza.

Jest jeszcze jedna zmiana. W oryginalnym Dekalogu dzień święty jest określony jako sobota, natomiast my wypoczywamy w niedzielę. O co tu chodzi? Niedziela była świętym dniem religii pogańskich i prawdopodobnie przeniesiono święty dzień chrześcijan z soboty na niedzielę za panowania Konstantyna Wielkiego, czyli w IV w. n. e. Dlaczego tak się stało, czy było wolno tak zrobić i jakie konsekwencje z tego wynikają? Z jednej strony łatwo podważyć wiarygodność Kościoła, który opiera się na Dekalogu, a zarazem sam go łamie i zmienia. Z drugiej, życie to sztuka kompromisów. Lepszych czy gorszych, ale kompromisów, a historia ludzkości to dzieje wielkich poświęceń, wielkich zbrodni, przede wszystkim zaś zwyczajności i codzienności.

Europejczycy lubią widzieć, a zarazem przedstawianie na obrazach osób świętych czy boskich wcale nie musi prowadzić do jakiegoś bałwochwalstwa. Choć trzeba przyznać, że trwało to wieki, wspominając średniowieczny kult relikwii.

Pisanie ikony to całe wielkie przedsięwzięcie, a proces ich powstawania jest obwarowany wieloma zasadami. Tak, ikonę się pisze, nie maluje! Pisze, używając technik malarzkich. Też nie mała to zagadka, dlaczego akurat pisze, skoro czyni się to farbami i pędzlami. Kiedyś wydawało mi się, że powstało jakieś błędne tłumaczenie, jakby w językach greckim i rosyjskim ten sam czasownik oznaczał pisanie i malowanie. *Pisat* po rosyjsku czy *grafo* po grecku. Po głębszym zbadaniu sprawy okazuje się, że celem powstawania ikony nie jest zachwycenie odbiorców jej walorami artystycznymi, a opowiedzenie historii świętego, przekazanie jakiejś prawdy teologicznej czy też fragmentu ewangelii. Więc zgodnie uznano, że w języku polskim powinno się mówić, iż ikony się pisze. Osoby chcące pisać ikony, powinny się udać na nauki do duchownego lub skończyć specjalną szkołę, w której poznają tajniki tego rzemiosła. Rzemiosła, a zarazem doświadczenia religijnego czy może nawet sakramentu dostępnego tylko prawosławnym.

Miałem znajomego księdza katolickiego, który pozazdrościł duchownym prawosławnym tego doświadczenia religijnego, jakim jest pisanie ikon. Ów duchowny był w ogóle ciekawą postacią. Gdy go usłyszałem po raz pierwszy, zapytałem, czy w seminariach zaczęto uczyć emisji głosu, bo głos był szkolony. Ładna emisja, dobry oddech, głos spokojny o ładnym brzmieniu. Zazwyczaj księża, przepraszam za określenie, „mękołą”, gdy biorą się za śpiewanie. Albo mówią zawodzącym głosem, albo jeszcze bardziej zawodzącym głosem śpiewają. Tutaj

pasuje powiedzenie jednego ze śpiewających księży:

Kto śpiewa, modli się podwójnie. Kto fałszuje, modli się potrójnie.

A kto słucha fałszującego, towarzyszy Panu w jego mecie...

Znajomy ksiądz odpowiedział, że głos jego jest szkolony, bo szykował się do egzaminów do szkoły aktorskiej. Tak naprawdę do końca nie wiedział, czy ma być księdzem, czy zostać aktorem. Do tego był jeszcze tancerzem. Tak pomyślałem: „Chłop przystojny, jako aktor by použíwał życia, chórzystek wokół niego tłumy, a jednak wybrał życie w celibacie. O co tu chodzi?”. Wszystko się stało jasne, gdy go zobaczyłem podczas odprawiania mszy w Filippi na stanowisku archeologicznym przy więzieniu św. Pawła Apostoła. Znajomy ksiądz po prostu przeżywał coś wyjątkowego, niezwykłego, coś w rodzaju pewnej ekstazy. Religia i wiara chyba były dla niego wielką przygodą i całym sensem jego życia. Zgłębiając wiarę, był jak Indiana Jones, który odkrywał prastare świątynie zagubione gdzieś w dżungli. Stąd właśnie jego pomysł, by napisać ikonę, a dla mnie okazja, by poznać bliżej temat od strony technicznej.

W Grecji ikony pisze się na płótnie. Niby wszyscy widzą deseczkę z obrazem, ale tak naprawdę ikona powstaje na płótnie, które jest do deseczki przyklejane. Płótno jest zazwyczaj lniane i (uwaga!) pokryte dwunastoma warstwami podkładu (na pamiątkę dwunastu apostołów), gruntem, który składa się z gipsu i wywaru z rybich ości (ryba to symbol chrześcijaństwa). Kolejny krok to nałożenie pigmentów, czyli kolorów. Barwniki muszą być pochodzenia naturalnego. Jeden będzie sproszkowaną korą jakiegoś drzewa, drugi pozyskiwany ze sproszkowanych minerałów lub sadzy, zaś inny z mszy albo moczu

krów indyjskich (naprawdę!!!). Jak się łatwo domyślić, nie są to rzeczy tanie. Pigmenty mieszamy z octem i żółtkiem jaja kurzego i już możemy nakładać na zagruntowane płótno, przyklejone do deseczki z drewna oliwnego lub cedrowego. Gdy mamy już gotowy obraz, zaczynamy na niego nakładać złoto. Złoto ma formę płatków tak cienkich, że upuszczone na ziemię, opadają wolniej niż puch. Obecnie ikony często się postarza, by wyglądały bardziej dostojnie i nobliwie. Bardzo ważną sprawą jest też przygotowanie piszącego. Poza przeszkoleniem czy studiami hagiograficznymi (od słów *agios* i *grafo*, czyli „pisanie świętych”), należy pościć przed przystąpieniem do pracy. Najlepiej 40 dni.

Kto by się wybierał do Grecji w lecie, to może odwiedzić jedną z kilku pracowni ikon. Tam zawsze się znajdzie ktoś, kto opowie o technice ich powstawania. Polecam to zobaczyć. W pracowniach można też ikony sobie kupić lub fotografować. Ikony są różne. Od pisanych na starym drewnie albo wręcz zabytkowych, przez tworzone taśmowo przy użyciu jakichś technik drukarskich, aż po drukowane na papierze i naklejane na deseczkę. Wybór jest duży, cena adekwatna do jakości, przynajmniej są w tej sprzedaży uczciwi, a nie tak, że ktoś kupi ikonę z fotokopią, a potem usiłuje sprzedać jako zabytek z X wieku.

W Polsce niektórzy, zwłaszcza prostsi ludzie, źle reagują na ikony. Że niby ikony są nie katolickie, a prawosławne. Tutaj wyjaśnię, że najważniejszy obraz na Jasnej Górze jest właśnie ikoną i to pochodzącą ze świata prawosławnego. Matka Boska Częstochowska została w pierw sprowadzona na Ruś, gdzie trzymano ją w klasztorze w Bełzie, a stamtąd polski książę Władysław Opolczyk przywiózł ją do Polski i umieścił w częstochowskim klasztorze Paulinów.

Co ciekawe, można w pracowniach ikon znaleźć pewne interesujące obrazy, które kompletnie nie są u nas zna-

ne. Na przykład św. Demetriusza w zbroi, który dowodził wojskami broniącymi Salonik, albo (uwaga!) ikonę Matki Boskiej Trójrękiej. Zatrzymam się na chwilę przy tej ostatniej. Znamy różne „Matki Boskie” (choć jest jedna), ale o Trójrękiej, poza miłośnikami prawosławia czy historykami sztuki, chyba mało kto słyszał.

Wojny ikonoklastyczne

W roku Pańskim 717 na tron Konstantynopola wstąpił cesarz Leon III, zwany Syryjskim lub Izauryjskim. Panowanie zaczął burzliwie, bo już w pierwszym roku musiał bronić Konstantynopola przed najazdem arabskim. To mu się udało, podobnie jak dwadzieścia lat później powstrzymanie kolejnej próby inwazji Arabów na Cesarstwo. Leon III to zdolny organizator i reformator, który przywrócił Bizancjum potęgę po latach wojen domowych i najazdów. Jednak to, czym zasłynął, jest znane w historii jako wojny ikonoklastyczne, czyli wojny z czcicielami ikon.

Cesarz pochodził z Syrii. Jego stryj był urzędnikiem na dworze kalifa, więc na pewno miał kontakt z islamem. Zapewne to pod wpływem wyznawców Allaha uznał, że malowanie wizerunków świętych jest odstępstwem od wiary, postanowił więc gruntownie zreformować Kościół w Bizancjum. Nie chodziło tylko o obrazy. Ówczesne duchowieństwo nie jawiło się specjalnie jako wzór cnót chrześcijańskich i to nie tylko jeśli chodzi o księży, ale również o mnichów, którzy miast modlić się w klasztorach, hulali w najlepsze, nie stroniąc od wykwintnego jadła ani towarzystwa płci pięknej. Cała akcja zaczęła się pewnego dnia, gdy cesarz nakazał usunąć mozaikę przedstawiającą Jezusa, znad bramy pałacu cesarskiego

i zastąpić ją prostym krzyżem. Żołnierz wyznaczony do zadania wziął drabinę, siekiere i zabrał się do pracy. Oburzeni przechodnie zebrali się w większej liczbie, stręcili go z drabiny i zabili. Cesarz nakazał swojej gwardii atak. Połała się krew. W następnych latach doszło do regularnych starć między obrońcami ikon a wojskami cesarskimi. Ikony były niszczone, freski pokrywane motywami roślinnymi bądź geometrycznymi. Natomiast za pisanie ikon groziła kara śmierci bądź pozbawienie dłoni, przez jej obcięcie lub spalenie. W tych niespokojnych czasach schwytano jednego z bardziej znanych malarzy antiocheńskich, i obcięto mu dłoń. Pisarz ikon wziął obciętą kończynę do domu i ofiarował ją Matce Boskiej, kładąc ją przed ikoną, którą trzymał gdzieś w ukryciu. Modląc się, dziękował jej, że mógł tyle lat jej służyć swoim talentem. Nazajutrz z radością zauważył, że obcięta dłoń mu odrosła. Zerwał się, szybko pobiegł podziękować swojej Patronce, a tam ze zdumieniem stwierdził, że obcięta dłoń, złożona przed ikoną, znikła i pojawiła się na obrazie. Taka właśnie legenda mówi o powstaniu pierwszego obrazu Matki Boskiej Trójrekiej. Widać wyraźnie, że ta trzecia dłoń to nie ręka Matki Boskiej, a dłoń złożona przed jej wizerunkiem. Jak będziecie w jakiejś pracowni ikon, koniecznie poproście, by Wam taką ikonę pokazali.

Sprawa tej ikony to także dla mnie pewna refleksja nad ludźmi, którzy piszą książki. Otóż wiele lat temu miałem okazję czytać pewien szacowny przewodnik po Grecji. Tam sprawę powstania wizerunku Matki Boskiej Trójrekiej tłumaczono mniej więcej tak: „Kiedyś jakiś hagiograf się pomylił i napisał obraz, gdzie Maryja ma trzy dłonie, a później inni to kopiowali”... No cóż, ikona Matki Boskiej to nie „Bitwa pod Grunwaldem” Jana Matejki, gdzie rzeczywiście czasem trudno się połapać, czyja ręka do kogo należy. Z drugiej strony legenda czy

historia o powstaniu obrazu nie była nigdy jakąś wiedzą tajemną, zamkniętą gdzieś w podziemiach w skrzyni. Wystarczyło coś poczytać albo kogoś zapytać. Sprawa wojen ikonoklastycznych zakończyła się na drugim soborze nicejskim, gdzie uznano, że skoro Chrystus wszedł w ciało człowieka, czyli zmaterializował się, można go przedstawiać.

Meteory, czyli klasztory

Meteory przykuwają wzrok już z daleka. Niezwykły masyw o pionowych ścianach, wznoszący się kilkaset metrów nad miasteczkiem Kalambaka. Jak lata temu, niemalże wieki, usłyszałem, że pojedę do Grecji, to hasło „meteory” wywołało u mnie skojarzenie z jakimiś kraterami. W zasadzie w ogóle nie miałem pojęcia o świecie. Wiedziałem jak się nazywają muzycy Slayera albo jak doszło do powstania Guns N’ Roses. Coś tam kojarzyłem z historii, z nauk przyrodniczych, zwłaszcza paleontologii, ciekawiły mnie prastare kultury, raczej te zagubione w dżungli, niż ładnie wkomponowane w śródziemnomorski krajobraz. Ciekawie było o nich czytać albo oglądać filmy z serii Indiana Jones. Jednak, jako że lubię kobiety, wino i śpiew, to po książkach mistrza Cejrowskiego (bardzo konkretnie opisał, czym jest dżungla), zdecydowanie wolę odwiedzać świątynie, koło których jest tawerna z dobrą baraniną i lekkim winem niż przedzierać się przez bagniste tropiki. W Grecji spotkasz człowieka, to porozmawiasz o życiu, o świecie, a w takiej dżungli masz wiele szczęścia, jak cię napotkani tubylcy nie zjedzą. Co kraj, to obyczaj.

Meteory po prostu zapierają dech w piersiach. Są miejsca ciekawe dla archeologów, są takie dla historyków sztuki albo historyków. Mnie jako historyka ciar-

ki przechodzą, gdy jestem pod Platejami. Ale są miejsca dla „normalnych” ludzi. I takie są Meteory. W ogóle od Meteorów zaczynam, bo to i moja pierwsza samodzielna wycieczka (jak wiecie, tragiczna w sumie), i chyba numer jeden wśród miejsc warty odwiedzenia.

Jadąc od Trikali, parę kilometrów za miejscowością trafiamy na długą, prostą drogę. Po lewej stronie wznosi się monumentalny masyw gór Pindos, zaś na końcu drogi przed nami pionowa ściana Meteorów, wznosząca się ponad trzysta metrów. Wiosną lub jesienią, gdy mgła zaściela okoliczne pola, można odnieść wrażenie, że szare skały unoszą się w powietrzu. Stąd ich nazwa. Meteora oznacza bowiem coś, co jest w powietrzu. Łatwo to zresztą skojarzyć z nauką o zjawiskach zachodzących w powietrzu, czyli meteorologią. Po prawej i lewej stronie mijamy pola uprawne, jakieś samotne domki, sklepy, z rzadka rozsiane warsztaty czy hurtownie. Przy samej Kalambace masyw Meteorów nabiera monumentalnych rozmiarów, tworząc masywną bryłę pełną tajemniczych jaskiń. Po przecięciu dwóch przejazdów kolejowych, na samym początku miasteczka skręcamy w prawo i mijamy trzy pracownie ikon. Z jednej strony to wielkie sklepy pamiątkowe, z drugiej manufaktury, w których ikony są wykonywane dokładnie takimi samymi metodami jak przed wiekami. Co bardzo ważne, można się też dowiedzieć, jakie klasztory są otwarte danego dnia i w jakich godzinach, lub w trybie awaryjnym wynająć sobie przewodnika po klasztorze. Można tam zobaczyć krok po kroku proces tworzenia świętych obrazów. Od rzeźbienia deski poprzez klejenie płótna, nanoszenie kolejnych warstw pigmentu, przyklejanie złotych płatków, aż po werniksowanie, które nadaje ikonie wiekowego wyglądu. Dla grup atrakcją będą toalety, możliwość gratisowych napitków lub okazja do zrobienia zakupów. Dla grup są organizowane

prelekcje, także w języku polskim, a osoby, które dokonają zakupów, biorą udział w losowaniu jakichś symbolicznych upominków: a to magnesu na lodówkę z widokiem z jakiejś greckiej wyspy, a to coś z ceramiki lub kilka pocztówek. Kiedyś w kulminacyjnym momencie kryzysu ekonomicznego nagrody były wyraźnie późniejsze. Jedną z nich był kalendarz z poprzedniego roku albo pocztówki z kotami. Teraz wyraźnie się poprawiło.

A co tam warto kupić, czy jak też niektórzy pytają: *Pa- nie przewodniku, a co się oplaca kupić?* Na pewno książki. Książki są tanie w Grecji. Zapewne dlatego, iż ich czytanie nie jest szczególnie lubianą rozrywką w kraju potomków Leonidasa i Achillesa. Pozycje o Meteorach są dobre zarówno jeśli chodzi o zdjęcia, jak i treść. Na pewno to ciekawa pamiątka na dobrym poziomie. Poza tym mnóstwo biżuterii, jakieś pachnidła, podrabiane markowe okulary i oczywiście ikony. Te ostatnie są bardzo zróżnicowane cenowo. Najdroższe, których ceny sięgają do kilkuset euro, to te malowane ręcznie na starym drewnie, ozdobione srebrem i złotem. Najtańsze, malutkie deseczki z naklejką imitującą obraz. W tradycji polskiej, ikony czy obrazy nie odgrywają aż takiej roli jak w prawosławiu, toteż na turystach z Zachodniej Europy pracownie specjalnie się nie dorabiają. Za to, gdy przyjedzie grupa z Rosji, Ukrainy, Bułgarii czy Serbii, to Grecy niemalże lecą po czerwony dywan i biją jagnię, bo wiadomo, że zostawią już jakąś grubszą kwotę, zwłaszcza jak w składzie grupy będzie jakiś bogaty, nawrócony grzesznik, który chce obdarować jakiś klasztor u siebie. Nie mniej radości wywołują grupy z dalekiej Azji albo Stanów Zjednoczonych. Po pierwsze mają dużo pieniędzy, a po drugie jest to dla nich egzotyka (zwłaszcza dla Azjatów) i to cenna, bo ręcznie robiona. Amerykanie mają jeszcze jeden powód, by kupo-

wać najdroższe ikony na starym drewnie. Oni po prostu nie mają u siebie nic starego. Tradycje amerykańskie to raptem kilka wieków, gdyż początki kraju sięgają jedynie 400 lat wstecz.

Gdy już nasycimy się pamiątkami i obfotografujemy kolekcję ikon, ruszamy w dalszą drogę, czyli w górę. Droga, jaką pojedziemy pod klasztor, to twór stosunkowo młody. Powstała w czasie wojny domowej w Grecji i jest efektem pracy inżynierów wojskowych, którzy mieli umożliwić wytaszczenie w góry artylerii i ciężarówek. Wcześniej był tam jakiś utwardzony dukt, akurat dla kóz albo osiołków. Mamy zatem parę minut, by ogólnie zaznaczyć się z historią Meteorów.

Historia Meteorów

Podnóża Meteorów były zasiedlone już w epoce kamienia przez pierwszych osadników na terenie Grecji, czyli przez Pelazgów. Od najdawniejszych czasów niezwykle masyw skłaniał ludzi do wysnuwania teorii o jego jakimś nienaturalnym, boskim pochodzeniu. Zresztą to jest pewna prawidłowość. Wszędzie, ale to wszędzie, w każdym zakątku świata, jakieś niezwykle i wyróżniające się twory natury stawały się sanktuariami, miejscami kultu religijnego albo wyroczniami. Od Aborygenów po ludy zamieszkujące daleką Syberię. W Grecji akurat ładnych i niezwykle miejsc nie brakuje, ale nawet na skalę tego kraju Meteory robiły i robią duże wrażenie. Na pewno istniało tam jakieś sanktuarium Gai, czyli Matki Ziemi, najważniejszej bogini z panteonu Pelazgów, ale to, co się zachowało, pochodzi z okresu klasycznego. V w. p. n. e. był czasem, gdy Grecy dużo budowali z kamienia, zastępując starsze drewniane

budowle. Wtedy też powstała u stóp Meteorów, na terenie dzisiejszej Kalambaki, świątynia poświęcona bratu Ateny, czyli Apollonowi. Natomiast w 529 r. n. e., gdy to cesarz Justynian, zwany nie bez powodu Wielkim, nakazał zamknąć wszystkie pogańskie świątynie, część z nich przebudowano na kościoły. Tak też stało się ze świątynią Apollona u podnóża Meteorów. Po przebudowie stała się kościołem pod wezwaniem Zaśnięcia Matki Boskiej.

Parę wieków później w jaskiniach i na skałach zamieszkali pustelnicy i eremici. Tak, to było modne w początkach chrześcijaństwa, i co ciekawe, skłonność do żywota pustelniczego czy klasztornego wcale nie jest wynalazkiem nowej religii. Ludzie, którzy chcieli się doskonalić duchowo, zbliżyć od Absolutu czy odkrywać istotę rzeczywistości, istnieli już dużo wcześniej w innych kulturach. Wystarczy wspomnieć religie Indii, a zwłaszcza buddyzm czy też mistyków żydowskich.

Agia Triada i inne klasztory

Po kilku minutach stromego i krętego podjazdu trafimy na rozstajne drogi, gdzie możemy jechać w prawo lub w lewo. Proponuję w lewo. Ledwie autokar ruszy w lewo, rozlegną się okrzyki zachwyty i tumult informujący o nerwowym i pospiesznym wyciąganiu aparatów fotograficznych. Tak, wjazd na górę wita zwiedzających mocnym uderzeniem, bo pierwszy klasztor to chyba zarazem ten położony najbardziej malowniczo, czyli **Agia Triada**. Jak się łatwo domyśleć, jest on zbudowany pod wezwaniem Świętej Trójcy. Paręset metrów od rozstajnych dróg znajduje się zatoczka, gdzie można stanąć na sesję zdjęciową, tam gdzie klasztor prezentuje się najokazalej. Można też zatrzymać się przy samym klasztorze, ale to dobre dla grup, które mają dość kondycji i zdrowia, by go zdobywać.

O ile atrakcją jest wejście do klasztoru, i jak ktoś przedkłada widoki nad zabytki, to gorąco polecam, o tyle wewnątrz do zwiedzenia zbyt wiele nie ma. Jest mały kościół. Nawet bardzo mały, o powierzchni około 10 metrów kwadratowych, nawet pasowałaby nazwa kaplica albo kapliczka. Natomiast za klasztorem jest skała, na której można sobie robić zdjęcia i przeżywać zawroty głowy wywołane wysokością i ogromem skał.

Klasztor Agia Triada został ukończony w roku 1400. Schody prowadzące w górę wykonano w drugiej połowie XIX wieku. Zresztą wtedy została zainicjowana akcja przez biskupa Trikalii, której celem było ułatwienie dostępu do klasztorów. Generalnie w większości przypadków wykuto w skałach schody lub gdzieś tam przerzucono mostki nad przepaściami. Całe wieki wcześniej do klasztorów można było się dostać albo lichą, drewnianą drabinką, albo być wciągniętym przy pomocy liny, w koszu lub sieci służącej do transportu towarów.

Po sesji zdjęciowej jedziemy w dalszą drogę, zbliżając się do klasztoru. Kolejny parking kilkaset metrów dalej to miejsce, gdzie można zostawić pojazd i ruszyć dróżką, by zwiedzić Agia Triadę. Najpierw w dół do podnóża skały, później schodami wykutymi w twardym zlepieńcu w górę. Tutaj uwaga dotycząca biletów, strojów i fotografowania. W 2015 roku wstęp do każdego klasztoru kosztował 3 euro i płacili wszyscy powyżej dwunastego roku życia. Nie ma zniżek ani dla studentów, ani dla osób starszych, matek karmiących piersią czy obłożnie chorych. Obowiązuje też stosowny strój, czyli panowie długie spodnie, panie spódnice lub sukienki zakrywające kolana, ramiona i biust. Kobieta w spodniach nie wejdzie, choćby błagała, płakała czy szła na kolanach. Na szczęście dla nieprzygotowanych przy kasach biletowych jest darmowa wypożyczalnia spódnic.

Wystarczy wziąć taką do ręki, wytrząsnąć z niej myszy i pająki, i można zakładać. Kiedy te spódnice są prane, to raczą wiedzieć chyba tylko święci prawosławni.

Jadąc dalej w górę natrafimy na kolejny parking, gdzie tym razem możemy wybrać się na skałę i podziwiać widoki, przepaście i kolejny klasztor. Kolejny klasztor to znów kolejny parking, zazwyczaj niemiłosiernie zapchany autokarami. Nie bez powodu. **Klasztor św. Stefana** to jeden z najstarszych klasztorów w Meteorach, zbudowany w XIV wieku na miejscu pustelni z roku 1192.

Tutaj zwrócę uwagę na różnicę w datowaniu, bardzo powszechną we wszelakich źródłach, w których mowa o Meteorach. Wiele klasztorów powstało na miejscu starszych pustelni i kapliczek. Same zabudowania klasztorne zaś pojawiają się na przestrzeni kilku wieków. Na przykład na jakiejś skałe zamieszkał pustelnik, sto lat później ktoś tam ufundował mały kościół. Kolejne sto lat później zamieszkało tam trzech mnichów, którzy sobie postawili jadalnię i parę pomieszczeń. Po pewnym czasie znów ktoś ufundował nowy kościół i założył klasztor, który istnieje po dzień dzisiejszy.

Kolejny klasztor, jaki będzie za kościołem Agia Triada, to klasztor św. Stefana, a właściwie św. Szczepana, pierwszego męczennika. W języku greckim nie rozróżnia się imion Stefan i Szczepan, zatem klasztor nazywa się Agios Stefanos. Po polsku powinniśmy mówić poprawnie „Święty Szczepan”, bo patronem jest konkretna osoba, właśnie pierwszy męczennik. Klasztor jest oblegany, bo to jedyny z trzech dużych klasztorów obok Wielkiego Meteoru i św. Warłama. Do tego nie trzeba wchodzić do niego po schodach, a nawet się do niego schodzi i to nie schodami, lecz krótką dróżką. Piloci nazywają go klasztorem dla grup leniwych i opastych. Po przejściu 30 metrów czeka na nas kasa biletowa, wypożyczalnia spódnic powszechnego użytku i możemy

eksplorować klasztor. W środku znajdziemy dwa kościoły, nowszy duży i starszy malutki (poświęcony Patronowi klasztoru), sklepik klasztorny i niewielkie muzeum. W dużym kościele poświęconym św. Charalambosowi jest przechowywana bardzo cenna relikwia - czaszka Patrona świątyni. Charalambos to biskup Magnezji, czyli okolic Lamii, zabity przez władze rzymskie za to, że był chrześcijaninem. W momencie egzekucji miał 113 lat. Część zabudowań klasztornych, w tym większy kościół, zostały zniszczone w trakcie bombardowania w czasie II wojny światowej. Zespół klasztorny przez pewien czas był opuszczony, aż w latach 60. XX wieku zasiedliła go grupa mniszek. Tu się może pojawić pytanie, jakie zakony zamieszkują klasztory w Meteorach? Jak to jest w Grecji ze wspólnotami monastycznymi? Otóż w Grecji nie ma zakonów prawosławnych, jakichś odpowiedników naszych Franciszkanów czy Benedyktynów. Każdy klasztor ma swoją regułę i swoje zasady, a przeor jest wybierany demokratycznie spośród mnichów czy mniszek. Wydaje mi się, że klasztor św. Szczepana nie musi być obowiązkowym punktem wizyty w Meteorach, a co najbardziej cieszy, to punkt widokowy, z którego widać olbrzymią połąć Tesalii, ozdobioną korytem rzeki Pinios.

Pod klasztorem trzeba się nawrócić i jechać z powrotem na skrzyżowanie przed Agią Triadą i już nie zjeżdżać w dół do pracowni ikon, a kontynuować podróż prosto, dalej podziwiając zapierające dech w piersiach widoki. Po lewej stronie drogi będą parkingi przy skałach, na które można wyjść i z których można sobie robić zdjęcia. Kolejne skrzyżowanie, droga w prawo i w górę zaprowadzi nas do klasztorów św. Warłama i Wielkiego Meteoru. Droga w lewo to zjazd z Meteorów - coś tam będzie po drodze, ale o tym później. Najpierw jedziemy w prawo do dwóch dużych i starych klasztorów. Wielki Meteor, czyli Metamorfosis (po polsku klasztor Przemienienia

Pańskiego) to najwyżej położony ze wszystkich klasztorów, jeden z najstarszych i najlepiej zachowanych. Poniżej niego jest Warłam - młodszy, ale równie wielki i wart zobaczenia. Który wybrać do zwiedzania? Zazwyczaj jadę do Warłama, bo nie ma tam tłumu, trawienia się i jazgotu. Po prostu można go spokojnie zwiedzić. Relatywnie spokojnie, bo zależy to od poru roku. W lecie, jak się łatwo domyślić, Meteory przeżywają najazd turystów, a w niektóre dni ruch wygląda jak ewakuacja z bombardowanego miasta. Ale wróćmy do klasztoru.

Klasztor św. Warłama był zbudowany w połowie XVI wieku na skale, na której 200 lat wcześniej miał swoją pustelnię mistyk i święty właśnie o imieniu Warłam. Fundatorami klasztoru byli dwaj bracia z Joaniny. Obaj spędzili swoje pierwsze lata w Meteorach w tzw. Klasztorze Kalligrafów, w którym - jak się łatwo domyślić - zakonnicy zajmowali się przepisywaniem ksiąg. Po śmierci rodziców i odziedziczeniu rodzinnych majątków, bracia zdecydowali się poświęcić je na budowę nowego klasztoru. W czasie budowy jeden z braci ciężko zachorował, ale prawdopodobnie dzięki sile woli dotrwał dokładnie do dnia ukończenia klasztoru. Brzmi to jak legenda, ale ten fakt poświadczają kroniki klasztorne. W ostatnim dniu swojego życia pożegnał się z bratem, pobłogosławił budowniczych i mnichów, i oddał się opiece Pana. Drugi z braci został pierwszym opatem klasztoru. Klasztor Warłama kusi różnymi ciekawymi miejscami do odwiedzenia. Po pierwsze samo dojście do klasztoru jest malownicze. Mamy też niewielkie muzeum, można wejść na pomost transportowy, gdzie przed wiekami wciągano towary i osoby chcące odwiedzić klasztor. Jest też wielka, wręcz gigantyczna beczka, ponoć na wino, i wreszcie bardzo ciekawy dwuczęściowy kościół. Dwuczęściowy, gdyż do starego dobudowano

nową nawę, przyozdabiając ją freskami w zupełnie innym stylu niż w starej części. O ile nowa część świątyni jest pokryta typowymi freskami w stylu bizantyńskim, czyli statecznymi i stonowanymi, o tyle starsza zdobiona jest malowidłami żywcem przypominającymi twórczość Hieronima Boscha. Historycy sztuki i miłośnicy malarstwa będą mieli prawdziwą ucztę estetyczną.

A teraz wyższy klasztor, czyli Metamorfosis, zwany **Wielkim Meteorem**. Tam kończy się droga, a autokar ma prawo wysadzić turystów i musi zjechać niżej, szukając sobie miejsca do parkowania gdzieś przy drodze. To powoduje, że Metamorfosis się zwiedza godzinę dłużej od Warłama. A to ktoś się zamyśli, a to kogoś pochłoną stragany z pamiątkami, to znów ktoś nie wie, gdzie iść albo o której zbiórka. Polecam pójść z grupą do klasztoru, zebrać ich w klasztorze po zwiedzeniu i schodzić razem. W innym przypadku wręcz jest pewne, że ktoś się zabłąka. Klasztor Przemienienia Pańskiego oferuje najwięcej atrakcji do zwiedzania. Jest i muzeum, i duży kościół, sala etnograficzna z dawnymi narzędziami i przedmiotami codziennego użytku, kuchnia, zapierający dech w piersiach punkt widokowy. Jest także ossarium, gdzie składane są kości mnichów. Samo podejście też robi wrażenie, wychodzi się bowiem na wysokość chyba szóstego piętra schodami wykutymi w skale, przy czym po drodze trzeba się przecisnąć przez kilkunastometrowy tunel. Ma on wysokość około 180 cm i dwie osoby mijają się w nim z trudem, ale warto wyjść choćby dla widoków.

Klasztor został wzniesiony w XIV wieku, co czyni go jednym z najstarszych, a historia jego założenia wiąże się z losami św. Atanazego. XIII wiek to w Grecji czas niespokojny. Osłabione atakiem krzyżowców i Wenecjan Cesarstwo Bizantyńskie było podzielone na kilka państw. Po ziemiach dzisiejszej Grecji grasowały bandy najemni-

ków, maruderów i feudalnych rycerzy. W takich to warunkach przyszedł na świat Atanazy, późniejszy założyciel klasztoru Metamorfosis. Jako dziecko został osierocony, rodzice zginęli w czasie oblężenia ich rodzinnego miasta. Uciekł więc z wujem i tułał się wraz z nim. Już od młodych lat przejawiał zainteresowanie religią, starał się zgłębić tajniki wiary, dużo czytał, chętnie spotykał się z mistykami i uczonymi mężami. W zasadzie to święci podążają ku swej świętości dwiema drogami: albo już od młodych lat przejawiają zainteresowanie sprawami duchowymi i wolą się modlić niż bawić w chowanego, albo dla odmiany, delikatnie mówiąc, łobuzują, by pod wpływem olśnienia zrezygnować z grzesznego życia. Tutaj znane są przykłady czy to św. Augustyna czy też św. Marii Egipskiej, której to żywota, z uwagi na młody wiek niektórych Czytelników, przytaczać nie wypada. Zwłaszcza tej pierwszej części żywota. Atanazy zatem należy do tego pierwszego typu świętych, czyli świętych bez przejść. Już jako nastolatek próbował dostać się do państwa kościelnego Atos, czyli Republiki Mnichów na terenie dzisiejszej Grecji, ale obowiązywały tam ścisłe zasady. Na Atos mieli wstęp tylko dojrzały mężczyźni. Nie wolno tam było wstępować ani kobietom, ani „zbyt młodym” młodzieńcom. Atanazy dalej więc sobie podróżował, aż osiągnąwszy słuszny wiek, czyli około trzydziestu lat, ponownie stanął u bram Atos. Tym razem nie miał już przeciwwskazań do złożenia przez niego wizyty, a co ciekawsze, po rozmowie z przeorem jednego z tamtejszych klasztorów, został przyjęty. Długo nie zabawił, bo to właśnie jemu, co jest wyraźnym wyróżnieniem, powierzone zostało wzniesienie klasztoru na najwyższej skale Meteorów. Pierwsze budowle powstawały przez dziesięciolecia w trudzie i mozole. Garstka ludzi. Atanazy i kilku mnichów.

Kiedy budowa dobiegła końca, Atanazy został pierwszym przeorem. A gdy był już dość sędziwy, odwiedził go ciekawy gość — przysły władca Serbów i Greków. Z premedytacją nie podaję ani daty budowy klasztoru, ani kto i kiedy został przeorem, bo każde źródło podaje co innego. W każdym razie młody gość, który odwiedził sędziwego już Atanazego, to Jan Ouresis Paleolog. Nazwiska wskazują na godne pochodzenie, z jednej strony dynastia serbska, z drugiej ostatni ród cesarski panujący w Bizancjum. XIV wiek to czas największej potęgi Serbii. Stefan IV Ouresis zdobył ziemie północnej i centralnej Grecji i ogłosił siebie carem Greków i Serbów. Jan Ouresis był bratankiem Stefana IV. Młody Jan długo rozmawiał z sędziwym Atanazym, ale to nie powinno nikogo zaskakiwać. Sprawy duchowe były wtedy traktowane z niezwykłą powagą, a pustelnicy i święci mężowie mieli rangę dzisiejszych celebrytów. Owoce tego spotkania zostały wydane kilka lat później. Jan Ouresis abdykował na rzecz swojego krewnego, i przybył do Meteorów, by rozpocząć życie zakonne. Jako że od śmierci Atanazego minęło kilka lat, przybysz został przeorem Wielkiego Meteoru, czyli Metamorfosis. Czaszki jednego i drugiego znajdziemy w przedsionku kościoła Wielkiego Meteoru, oprawione w srebro i wystawione w relikwiarzu. Meteory gościły już wcześniej i koronowane głowy, i innych dostojników, ale po raz pierwszy do klasztoru wstąpił władca i to w młodym wieku. Fakt, nie raz królom czy cesarzom potrafili się nawracać przed śmiercią albo na starość wstępować do klasztoru, by po grzesznym życiu trochę sobie odpokutować za swoje występki. Była też bizantyńska tradycja odsuwania kogoś od świeckiej władzy przez przymusowe święcenia kapłańskie, bo osoba stanu duchownego nie mogła być cesarzem. W sumie całkiem niezłe, bo jako inne opcje pozbycia się konkurencji do cesarskiego tronu stosowano kastrację,

obcinanie nosa albo po prostu zabijano. Ale żeby młody władca, człowiek cesarskiego rodu wstępował do klasztoru? W tamtych czasach była żywa legenda o młodym księciu czy władcy, który porzucił dostatnie życie i rozpoczął życie ascety. Legenda miała swoją genezę w wydarzeniach, które rozegrały się kilkanaście wieków wcześniej w dalekich Indiach. Był tam ktoś taki, kto porzucił pałace i dostatki, by rozpocząć drogę ku doskonałości.

Tak jak ktoś się zapewne domyśla, chodzi o Buddę. Historia z dalekiej Azji wydarzyła się jeszcze raz w średniowiecznej Europie.

Po zwiedzeniu Wielkiego Meteoru albo Warłama, albo obu, wracamy, tak aby na pierwszym skrzyżowaniu jechać w dół, w stronę klasztoru Russano, czyli św. Barbary. Obecnie drogi w Meteorach są dobrze oznakowane i nie trzeba już pytać okolicznych pasterzy o destynację. Jezdnia jest zabezpieczona przed lawinami błotnymi, a krawędzie murkiem. Ucywilizowało się tam trochę przez ostatnie dwadzieścia lat.

Zazwyczaj Sylwestra spędzam w Grecji i to na ogół z grupami. Integralnym elementem takich wyjazdów jest wycieczka do Meteorów. A Meteory zimą potrafią sprawić niespodziankę. Po pierwsze skały są zielone, obficie porośnięte mchem. Czasem jest mgła i kompletnie nic nie widać z autokaru, za to wrażenia ze zwiedzania klasztoru we mgle są niesamowite. Czasem leje deszcz. Wtedy na skałach widać dziesiątki wodospadów. Tam jest zawsze ciekawie i ładnie. Czasem aż za ciekawie. Na przykład kiedy spadnie śnieg albo jest lód na drodze.

Pewnego razu, właśnie w czasie wyjazdu sylwestrowego, i to takiego, podczas którego posypało w Meteorach śniegiem, postanowiliśmy zwiedzić Wielki Meteor. Okazało się, że zamknięty. Zatem jedziemy sobie do Warłama. Przemieszczając się z dołu do Warłama jedzie się łatwo.

Natomiast jadąc od strony Wielkiego Meteoru, czyli z góry, już nie jest wcale tak prosto. Trudno się złożyć autobusem latem na suchej nawierzchni zakrętu, a skręcić na śniegu graniczy z cudem. Ale co tam, Meteory to miejsce znane z cudów. Cudowne w dwójnasób miejsce, bo i wido- kowo, i pamięcią różnych błogosławionych cudotwórców, którzy tam żyli. Kierowcy autokarów są dwojakiego ro- dzaju, jedni wciąż powtarzają, że się nie da wyjechać czy skręcić, a są też i tacy, którzy często powtarzają: „Panie, ja nie wyjadę?”. Jak jechaliśmy na Wezuwiusza, to ludzie mdleli na zakrętach, a jechałem ja...Włosi brawo mi bili. W Sylwestra miałem kierowcę drugiego typu, czyli bez- problemowego. Zapomniałem wtedy, że kiedyś w Atenach właśnie z nim wpakowałem się w taką ulicę, że musieli stoliki z restauracji przynosić, żeby autokar przejechał. Ten kierowca nie miał nigdy problemów, aby jechać nawet drogami, z których zazwyczaj korzystali poganiacze osłów albo samochody terenowe. Na imię miał Romek. Jeszcze nie raz nam się tu pojawi, bo Romek jest barwną postacią i niejedno razem przeżyliśmy. Romek nie protestował specjalnie przed próbą skręcenia do Warłama. Wziął ostry skręt i ustawił się prostopadle do przepaści. Teraz wystarczyło skręcić koła, wrzucić wsteczny bieg, cofnąć trochę i Warłam nasz. Tylko plan to jedno, a rzeczywistość to drugie. Autokar żadną miarą nie chciał jechać do tyłu. Koła się ślizgały, a pojazd powolutku i nieubłaganie przesuwał się w stronę krawędzi jedni. Na skalę Meteorów nie było tam bardzo wysoko, ot jakieś 50 metrów w dół. Tyle wystarczyło. I mnie, i kierowcy, a już szczególnie pasażerom siedzącym z przodu. Myślę, że dawno nie mieli takich wrażeń i dawno nie wołali imion świętych tak głośno. Od- puściliśmy i zjechaliśmy w dół.

Jak ktoś ma zwinną grupę, na przykład sportową czy w miarę sprawną, może się pokusić o zejście z Warłama czy Metamorfosis (Wielki Meteor) pieszo przez las. Jest

ładna i malownicza ścieżka. Łatwa, zrozumiała, wystarczy po prostu iść w dół. Wyjście jest na drodze, paręset metrów przed klasztorem św. Mikołaja Anapafsasa. Kto zjedzie autokarem lub samochodem, może zajrzeć do **klasztoru Russano**, czyli św. Barbary. Czy warto? Do klasztoru wchodzić nie ma specjalnie po co. Jest kościół i tyle. Za to bez płacenia za bilet można sobie wyjść na platformę widokową. Jest po prostu ładnie. Ładne są i widoki, i samo podejście schodami w górę obok porośniętych bluszczem skał. Najniżej położony klasztor, czyli **Mikołaja Anapafsasa**, jest mały, najmniejszy z istniejących, nastrojowy, a największą atrakcją jest znów punkt widokowy.

A teraz szczypta geologii. Meteory są zbudowane ze zlepieńca. Jak sama nazwa wskazuje, skała ta powstaje, gdy coś się zlepi. W tym przypadku różne kamienie, większe i mniejsze, zostały posklejane naturalną zaprawą. Ogólnie wygląda to tak. Skała się kruszy, bo działają na nią i temperatura, i wiatry, i woda. Czasem trzęsienia ziemi. Pokruszone kawałki skały, czyli kamienie, żwir, piasek czy pył, są zabierane przez wodę. Woda porzuca je u swojego ujścia albo gromadzi na dnie zbiornika czy w jakimś zakolu. Ktoś powie: „Jak to z wody i kamieni może się zrobić skała?”. No, może. Wystarczy zajrzeć czasem do czajnika...

Czy naturalna cementacja zaszła pod wodą czy po wynurzeniu się skał, nie wiem. W każdym razie ruchy płyt tektonicznych wypchnęły Tesalię nad poziom morza, a tym samym Meteory. Maczugowate kształty niektórych skał sugerują, że później musiała na nie działać woda, podmywając je lub tworząc poziome, dziś ukośne rynny. Geolodzy twierdzą, że skały w tak niezwykły sposób ukształtowała olbrzymia rzeka, która wpadała do Morza Tesalijskiego. Jeden z przewodników

uważał, że nie znaleziono śladów erozji wodnej, że nie było na przykład trylobitów, tak popularnych w okolicach Krakowa. No tak, ale trylobity wyginęły w Permie, ponad 250 milionów lat temu, a Meteory się kształtowały 80 milionów lat temu.

A teraz zasadzki i pułapki, czyli co zrobić, gdy się coś pojawi na horyzoncie i ludzie będą pytać, co to jest, a ci uwielbiają uchodzić za spostrzegawczych i inteligentnych, więc tylko czyhają, by wypatrzeć coś niezwykłego. W Meteorach jest parę takich okazji. Na pewno **klasztor św. Georgiosa Mandilasa** nad wioską Kastraki. Kastraki to druga miejscowość u stóp Meteorów. Ten klasztor wypatrzą wszyscy, gdy zjedziemy od św. Mikołaja Anapafsasa, zaraz po lewej stronie pojawi się coś kolorowego. Kilkadziesiąt metrów nad ziemią, na niemal pionowej ścianie utworzyła się jaskinia, a teraz tam wiszą flagi i jakieś kolorowe tkaniny. Tam właśnie był klasztor św. Georgiosa. Był, bo obecnie nie jest zamieszkały. Za to miejsce dalej żyje swoim życiem, kontynuując pewną tradycję. Otóż raz do roku mieszkańcy wioski wspinają się po skale do klasztoru (ściana nie jest pionowa, co widać wyraźnie wieczorem), ściągają chusty zawieszane rok wcześniej i wieszają nowe. Następnie chusty, które wisiały przed klasztorem przez rok, są poświęcone na specjalnym nabożeństwie i cięte, tak aby każda rodzina dostała kawałek, który to później kawałek wyrzuci na swoje pole. Jak się łatwo domyślić, coś ciekawego się musiało kryć za tym obyczajem, na pewno legenda, a może i fakty. Legenda jest dość banalna, trochę na poziomie tej siedemsetletniej lipy, co ją musieli ogrodzić siatką, bo pielgrzymi obgryzali z niej korę (w Polsce w miejscowości Cielętniki), bo pomaga na zęby. Nie lubię takich tandetnych historyjek, ale przytoczę dla postrachu.

Dawno, dawno temu, w czasach, gdy na ziemiach Hellady panowali Turcy, jedna chrześcijańska Greczyn-

ka przyjaźniła się z Turczynką muzułmanką. Greczynka opowiadała przyjaciółce o swojej religii, aż ta niemal była gotowa zmienić wyznanie. W islamie nie tak łatwo z tym, bo ci co porzucają wiarę Mahometa, automatycznie dostają wyrok śmierci. Jednak pewnego dnia widziała jak pod klasztorem Georgiosa pewien mężczyzna tak zawzięcie rąbał drewno, że obciął swojemu synowi rękę. Obaj byli Turkami. Dziewczyna podbiegła i zawiązała kikut swoją chustą. Trzeba Wam wiedzieć, że w ówczesnych czasach w małych bałkańskich miejscowościach taki uraz to wyrok śmierci. Zazwyczaj, jak nie z upływu krwi, to później od zakażenia. W średniowieczu większe było prawdopodobieństwo przeżycia dżumy niż amputacji kończyny (zwłaszcza, gdy ta się odbywała w lesie i przypadkiem). Turczynka poprzysięgła, że jeśli chłopiec przeżyje (zapewne był to jej krewny), to przejdzie ona na chrześcijaństwo. Chłopiec przeżył, Turczynka zmieniła wiarę, ojciec pewnie się zapisał na jakiś kurs „BHP rąbania drewna”. Tyle z legendy.

A jakie fakty? Obraz antycznej Grecji jest w naszej kulturze mocno wyidealizowany. Grecy są przedstawiani jako miłujący wolność i pokój lud, parający się filozofią, sztuką i nauką. A tak naprawdę czasy były brutalne, tortury normą, a kara śmierci czymś, co wcale nie wymagało jakiejś wielkiej zbrodni. W zachwycie nad literaturą, rzeźbą czy wspaniałością dramatów, pomija się skrzętnie krwawe obrzędy, okrucieństwo czy składanie ofiar z ludzi. Na przykład Spartanie składali Artemidzie w ofierze kobietę, którą, związaną łańcuchami, wrzucili do morza.

Zdaje się, że składanie ofiar z ludzi było praktykowane przez Pelazgów, czyli tych „starszych Greków”. W ich pantheonie najważniejszą boginią była Ziemia, Matka Ziemia. W mitologii greckiej znana jako Gaja, obecnie po grecku *Gi*. Z wersji jaką znam, raz do roku mieszkańcy Kastraki wybierali spośród siebie młodzieńca i wśród uroczystości

oraz obrzędów pozbawiali go życia, składając w ofierze
właśnie Matce Ziemi. Jego ciało było cięte na kawałki

i każda rodzina rzucała kawałek tego ciała na swoje pole. Analogia do cięcia chust w czasie nabożeństwa i rzucanie ich na pola jest aż nazbyt oczywista do antycznych krwawych obrzędów.

Tutaj zatrzymam się na chwilę przy paru ciekawych uroczystościach, będących kontynuacją obrzędów pogańskich. Otóż jest taka malownicza wyspa Kefalonia, rozśławiona filmem „Kapitan Corelli” z Nicolasmem (greckie imię) Cage’em i Penélope (też greckie imię) Cruz. Akcja filmu to coś w rodzaju *Romea i Julii*, bo dzieje się w czasie niemiecko - włoskiej okupacji wyspy. Nicolas gra tytułowego kapitana włoskich wojsk, natomiast Penélope grecką lekarzkę. Ale nie o tym rzecz. Chodzi o pewien kościół Matki Boskiej, w którym przed 15 sierpnia, czyli przed świętem Matki Boskiej Zielnej, pojawia się pokaźna ilość kocich węży. Koci wąż to nazwa gatunkowa jadowitego gada występującego na Bałkanach, Kaukazie i Bliskim Wschodzie. Węże, które zazwyczaj unikają ludzi, przed świętami w kościele i okolicy zachowują się tak, jakby nas nie zauważały. Ludzie je biorą na ręce i kładą na ikonę Matki Boskiej Wężowej. 15 sierpnia w czasie nabożeństwa węże się robią agresywne, po czym nagle znikają w szczelinach i jamach. Tak jest co roku. Około 5 sierpnia węże wypełzają ze swoich jam na otwarte tereny przy kościele lub wpełzają do jego wnętrza. Nie przejmując się obecnością ludzi, grasują sobie po klasztorze, by zniknąć po nabożeństwie 15 sierpnia. Jak podaje tradycja, dzieje się tak od co najmniej XVI wieku, kiedy to wysyp węży miał uratować klasztor przed atakiem piratów. Kto zna trochę mitologię czy wierzenia starożytnej Grecji, wie, że węże były związane z różnymi kultami, na przykład kultem Asklepiosa.

Innym ciekawym świętem są Anastenaria. Wyobraźcie sobie, że trwa sobie nabożeństwo w pewnym kościele

północnej Grecji. Grupa mężczyzn modli się w środku, zaś pozostali mieszkańcy rozsypują przed kościołem żarzące się węgle. W pewnym momencie mężczyźni wychodzą z kościoła boso, trzymając w rękach ikony i w transie idą po żarzących się węglach. Legenda mówi o płonącym kościele, do którego wbiegli mieszkańcy, by ratować ikony. Nikt z nich nie zaznał żadnych obrażeń. Chodzenie po żarzących się węglach nie jest jakimś chrześcijańskim obyczajem ani czymś, co nauka przy obecnym stanie wiedzy jest w stanie wyjaśnić. A jednak się to dzieje.

Zdaje się, że zarówno w przypadku cięcia chust wiszących rok w klasztorze św. Georgiosa w Meteorach czy węży grasujących po kościele na Kefalonii, jak i procesji idących po rozżarzonych węglach, mamy do czynienia z pozostałościami starszych, pogańskich obrzędów i rytuałów. Tak to było z chrystianizacją. Gdzie się pojawiała nowa religia, tam zazwyczaj przejmowała coś ze starych wierzeń. W Polsce jest to obyczaj malowania jajek wielkanocnych albo śmigus – dyngus, nie wspominając już o puszczaniu wianków czy topieniu Marzanny, które ewidentnie są obyczajami przedchrześcijańskimi.

Grecja jest krajem o bardzo silnym i obecnym do dziś wpływie tradycji przedchrześcijańskich. Krajem pełnym silnej wiary w zjawiska nadprzyrodzone i ludzi, którzy ich doświadczyli. Historie typu, że ktoś był śmiertelnie chory, a rodzina zbudowała kościół albo zaniósła chorego do klasztoru, gdzie ozdrowiał, to już standard, i każdy takie w Grecji zna.

Opowiem historię, którą słyszałem od znajomego lekarza, Arisa. Człowieka wierzącego w potęgę nauki i wiedzy, który magię, czary i zabobony miał w głębokim poważaniu. Kiedy był w wieku studenckim, postanowił z kolegą odwiedzić Atos. Atos to Republika Mnichów. Prawosławne państwo kościelne w Grecji, a dokładniej na jednej z odnóg Półwyspu Chalcydyckiego

(Chalkidiki).

Aris za młodu był punkiem i anarchistą, zatem nie-specjalnie go ciągnęło do kościoła. Ze znajomym się wybrał raczej dla hecy czy beki, jak to się dziś mówi. Było śmiesznie i wesoło komentować brodatych pustelników, mnichów modlących się całymi dniami i nobliwych starców kontemplujących stare księgi. Było wesoło do czasu. Do czasu, aż jeden z mnichów zaprosił Arisa samego do kaplicy, by wyznał przed Bogiem swoje grzechy. Kolega miał poczekać na swoją kolej. Aris wszedł za duchownym, czując, że będzie świadkiem jakichś głupawych sztuczek, albo że wysłucha jakiegoś tyle pouczającego, co nudnego kazania. Tutaj wtrącę uwagę na temat spowiedzi prawosławnej. Otóż w prawosławiu człowiek się spowiada bezpośrednio Bogu. Bez księdza, nic się nikomu nie mówi, spowiedź jest w myślach (i teoretycznie w sercu). Gdy Aris wszedł do kaplicy, sędziwy mnich pokazał mu coś w rodzaju chusty. Należała ona do męczennika, który zginął za wiarę przed kilkunastoma wiekami. Chusta miała ponad 1500 lat. Duchowny nałożył tkaninę na głowę mojego znajomego i powiedział, by ten w myślach zaczął wyznawać Bogu swoje grzechy. Tak jak umie, po prostu by powierzył to, co uważa, że było w jego życiu złym uczynkiem. Aris sceptycznie podszedł do pomysłu, ale spróbował. Zaczął myśleć o swoich złych czynach. I wtedy się zaczęło. Najpierw padł na ziemię, jakby był przywalony olbrzymim ciężarem. Próbując się ruszyć, wpadł w panikę, że doznał jakiegoś paraliżu. Potem zaczęły mu z oczu cieknąć, nie kapać, ale cieknąć łzy. Spowiedź się rozpoczęła... Gdy Aris wyszedł z kaplicy, wciąż płakał. Znajomy zerwał się na jego widok, zasypując go pytaniami. Aris odpowiedział, by poszedł i sam tego doświadczył. Tak też się stało. Przez kilka tygodni po tym niezwykłym wydarzeniu obaj młodzieńcy mieli wrażenie,

że idąc, nie dotykają stopami ziemi. Takie to jest to greckie chrześcijaństwo.